Nr. 27. Poznań, dnia 7 Lipca 1907 r. Rok XI.

Abonament wynos kwartalnie na poczcie . 1,F z odnoszeniem do domu . . 1,6 pod opaską . . 2,75

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań. ul. Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 1865. Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Szkoła ludowa.

Z artykułu p. I. Tews, który podajemy w feljetonie pod nagłówkiem „dziecko a książka,“ wysnuwamy jeden wniosek, że umysłom głębszym nawet z pośród niemieckiego społeczeństwa, bardziej pragnącym szczęścia dziecka aniżeli rząd pruski — szkoła niemiecka nie wystarcza i dla niemieckich dzieci.

Dla tego p. I. Tews zwraca się do — rodziców, do społeczeństwa. Głos jego tłomaczy wady szkoły, a dla poprawienia ich wskazuje drogę — samopomocy.

O ile większe znaczenie słowa p. Tews mają dla naszego społeczeństwa! Między książką niemiecką a naszem dzieckiem nie tylko ze względów „literackich“ istnieje przepaść — pomiędzy niemi istnieje przepaść językowa, którą dziecko rzadko i tylko z nadzwyczajnym trudem, a najczęściej połowicznie pokonywa. Skąd w takim razie szkoła względem dziecka polskiego może spełniać to zadanie, którego nawet wobec dziecka niemieckiego spełnić nie może!?

I jeżeli w pierwszym artykule stwierdziliśmy jako niezbity fakt, że między domem polskim a szkołą jest nieprzebyta przepaść, to dziś jako drugi niezbity pewnik stwierdzamy, że bodaj większa przepaść jeszcze istnieje między nauczycielem a dzieckiem.

Szkoła — czy nazwiemy ją pruską czy niemiecką — nie uwzględnia względem dzieci polskich najelementarniejszej potrzeby, i to tej: że uczącemu odbiera możność porozumiewania się z uczniem. Środkiem tego porozumiewania jest mowa — jest język. Gdy dziecko polskie nie umie po niemiecku, w jaki sposób nauczyciel ma się z niem porozumiewać?

Porozumiewanie to musi odbywać się z reguły w sposób, jaki natura wskazała ludziom, których mowy pozbawiła, t. j. niemowom, a więc na migi. Uprzystępnijmy to sobie na przykładzie. Dziecko ma lat 6 — na Wielkanoc rozpoczyna uczęszczać do szkoły. Weźmiemy takie dziecko, które wie, jak mu na imię, jak się nazywa, jak ojcu i matce na imię, jak się nazywa miejscowość, w której mieszka.

Nauczyciel jest Niemcem, świeżo objął posadę po ukończeniu seminaryum. Nie umie słowa po polsku — tak samo jak dziecko, ani słowa po niemiecku.

Ciekawi jesteśmy, w jaki sposób nauczyciel wydobędzie z dziecka imię, nazwisko, daty urodzenia i t. p., a więc rzeczy, które dziecko wie — ale które nie rozumie: *o co je pytają.*

Otóż jest to absolutnie niemożliwe. Nauczyciel może czasem wpoić w dziecko odpowiedzi na to pytanie, ale wprzód musi wiedzieć, jak się dzieci nazywają, musi je sobie, by ich nie pomylić, odpowiednio usadzić w ławkach — a potem następuje dresura: wie heisst du — wann bist du geboren, na co dziecko po pewnym czasie nieomylnie odpowiadać się nauczy.

Jest to prosta dresura. Gdy weźmiemy papugę, damy jej imię Koko — i zawsze na pierwszem miejscu o to imię ją pytać będziemy, to i papugę tego nauczymy.

Nauczyciel chcąc nauczyć dziecko odpowiadać na pytanie, imię i nazwisko, musi schodzić z katedry, musi przyjść do ławki, musi dziecko palcem pokazać, musi mu niezliczoną ilość razy pytanie i odpowiedź powtórzyć — aż wreszcie po Bóg wie jak długich mozołach dziecko odpowiedź na sposób papugi recytować umie.

Oto sposób szkolnej nauki, a rezultat? — pożal się Boże. A ile kosztował on trudu, znoju, mozołu, potu nauczycielskiego, ile strachu ze strony dziecka, ile razy już to kij, już linijka, już to ręka nauczyciela była „w robocie“ (!). A umysł dziecka czy się rozszerzył?!

Nie! — Gdyby nauczyciel w zrozumiałym dziecku języku uczył je tych pytań i odpowiedzi, ile to mógłby na ten temat dzieciom naopowiadać! Każde dziecko inne ma nazwisko, inne imię. Z każdem łączy się jakieś porównanie, wspomnienie.

W zrozumiałym dla dziecka języku nauczyciel od najelementarniejszych pytań mógłby rozpocząć — zaciekawianie dzieci, mógłby rozszerzać ich umysł, mógłby poczynać budzić ów „głód duchowy“, bez którego żadna dusza nie zapragnie pokarmu.

Metoda, jaką nauczyciel uczy dzieci najelementarniejszych rzeczy, musi być stosowana do wszelkich dalszych nauk. Każde pojęcie, każde nowe słowo napotyka na te same trudności co nauczenie odpowiedzi na pytanie: wie heisst du. Zachodzić będzie tylko ta różnica; że, gdy nauczyciel, pytając o imię, odnośne *dziecko* wskazuje palcem, a ucząc wyrazów innych, wskazywać musi palcem odnośny przedmiot.

Owoc takiej nauki jest ten, że z czasem dziecko nagromadzi *w pamięci* swojej pewną ilość wyrazów. W pamięci! Do umysłu dziecka, do jego rozumu, do serca, do duszy wyrazy te nie dotarły. Czemu? — Pomijając zupełnie ewentualność, że nauczyciel kijem wtłacza w pamięć te wyrazy — przyjmujemy jako możliwość, że czyni to w sposób najłagodniejszy — to może osięgnąć z swojej nauki to tylko, że dziecko wskazywany przedmiot nazywać się nauczy — rozumieć jego znaczenia nie jest zdolne.

A jeżeli dziecko znaczenie wyrazu rozumie, to tylko wtenczas, jeżeli go

rozumiało i bez nauki nauczyciela, ponieważ znać, rozumieć i przypisywać pewne znaczenie danemu przedmiotowi — nauczyli dziecko rodzice.

N. p., że krowa mleko daje, że z mleka robi się masło i ser — tego na wsi dziecka nie potrzebuje szkoła uczyć, bo o tem dzieci wiedzą, zanim do szkoły idą. Tak samo będzie w mieście wiedział syn rzemieślnika, do czego jest igła, kopyto, szydło i t. p. rzeczy.

Szkoła obarcza pamięć — nie uczy rozumu, oto pierwszy zarzut. Drugi: jeżeli szkoła bez rozszerzania rozumu obarczy tylko pamięć, to ten: że zamiast dodatnich osięga rezultaty ujemne. Bo co znaczy człowiekowi skarb, którego cenić nie umie, a wtłoczonego w pamięć skarbca nauki — dziecko w żadnym razie ocenić nie jest zdolne.

A jaki jest skutek takiej nauki? Po pierwsze ten, że o zgermanizowaniu dzieci, t. j. o przerobieniu polskiej duszy dziecka na niemiecką mowy niema. Powinniby więc inicyatorowie z takiego skutku wprowadzenia swych germanizacyjnych dążności do szkoły najbardziej być niezadowoleni. Ale oni się łudzą tem, że czego w jednem pokoleniu nie osiągnęli, to osięgną w drugiem, albo w trzeciem lub czwartem.

Otóż my przekonani jesteśmy, że to liczenie na trzecie i czwarte pokolenie pozostanie złudzeniem, bo: *obcą mową a nieznaną do duszy dziecka nikt dotrzeć nie zdoła* — nie zdoła więc i do duszy polskiego dziecka dotrzeć szkoła i nauczyciel niemiecki językiem niemieckim.

Prawda ta może społeczeństwu naszemu posłużyć za pewien rodzaj pociechy.

Czy jednakże pociecha ta wielką posiada wartość? — O tem niech Szan. Czytelnicy, raczą pomyśleć do przyszłego tygodnia.

Potrzeby kupiectwa polskiego.

O zjeździe kupieckim w Gnieźnie referowaliśmy w ostatnim numerze „Pracy". Tutaj pragniemy pomówić o wygłoszonych na zebraniu tem referatach. Było ich dwa. Pierwszy wygłosił p. Artur Gustowski z Opalenicy, kupiec-hurtownik i wydawca „Kupca", organu Związku Tow. kupieckich na Rzeszę niemiecką. Drugi referat wygłosił właściciel garncarni p. Kornaszewski z Inowrocławia. Obydwaj wybrali stósowne do swych zawodów tematy, kupiec — kupiecki, fabrykant przemysłowiec — przemysłowo-kupiecki. Temat pierwszego referatu brzmi: „żywotne kwestye dla *naszego* handlu z krótkim poglądem na jego rozwój stopniowy" — drugiego: „sposoby do podniesienia i uzupełnienia *rodzimego* przemysłu fabrycznego."

O historyi, to zn. w myśli swojej „o stopniowym rozwoju *naszego* handlu" mówi p. Gustowski to samo, co słyszy się codziennie: Polska miała kwitnący handel w wiekach dawnych — wytwarzali go cudzoziemcy — Polacy „jako naród rycerski i rolniczy" nie okazywali nigdy lepszego zrozumienia dla handlu i przemysłu!

Otóż to nieustanny zarzut. Warto przecież nań choćby słówkiem odpowiedzieć.

O ile znamy historyę handlu, to n. p. do Rzymian importowali go Grecy, Rzymianie później importowali go do narodów barbarzyńskich, podbitych przez siebie i t. d. Możnaby w ten sposób historycznie stwierdzić, że zawsze jeden naród od drugiego się handlu uczył.

Lecz czy w Rzymie robiono sobie z tego zarzut, że Rzymian Grecy handlu nauczyli? — Zarzutu takiego nie znamy. Fakt historyczny przyjmowano jako fakt, a nauczenie się handlu jako wyższy etap gospodarstwa narodowego.

Tylko my jesteśmy tacy niemądrzy, że robimy sobie z tego zarzut, cobyśmy pochwalić sobie powinni mianowicie, że mieliśmy zdolność: uznać to, co jest u obcych dobre, — za dobre i przyswajać je sobie.

Twierdzenie, że „naród polski jako rycerski i rolniczy" nie miał głębszego zrozumienia dla handlu i przemysłu wobec faktów historycznych upada. Nigdzie w Europie nie miał handel tej swobody co w Polsce. Że on jednakże to upadał to znów dźwigał się, to wina długich wojen Polski — ale nie „z braku zrozumienia dla handlu i przemysłu."

Z takiemi niedorzecznemi, historycznie nie dającemi się udowodnić za-

Dziecko a książka.

Uważamy to jako szczęśliwy zbieg okoliczności, że w czasie, kiedy w wstępnych artykułach poddajemy ocenie „szkołę ludową", znajdujemy w jednem z pism niemieckich rozprawkę nieznanego nam zresztą bliżej autora nazwiskiem I. Tews na powyższy temat. Rozprawkę tę podajemy poniżej w tłomaczeniu, ażeby przez to zwrócić uwagę czytelnikom naszym na to, jak trudno nawet wtenczas, gdy się ma szkołę za sobą — dotrzeć do duszy dziecka, dotrzeć do niego z książką. I. Tews nie waha się twierdzić, że szkoła niemiecka zadania tego należycie *nie spełnia*, i dla tego zwraca się z uwagami swojemi do właściwych najodpowiedzialniejszych wychowawców dziecka, *do rodziców*, do rodziny, a przez to *do samego społeczeństwa*, którego fundamentem jest rodzina.

Redakcya.

W jaki sposób — pyta I. Tews — stworzymy pomiędzy dzieckiem a książką taki stosunek, jakiego brak często wśród dorosłych a jeszcze częściej wśród dzieci? Jak nauczyć dziecko *kochać swoje książki*? W jaki sposób staną się one jego *przyjaciółmi*, których towarzystwa ono szukać będzie jak najczęściej, ażeby po pierwszem powierzchownem obejrzeniu nie stały mu się obojętnemi zamiast je podnosić i posuwać naprzód?

Twierdzi się, że szkoły niemieckie zadanie to mniej dobrze spełniają, anieżeli francuskie, angielskie lub amerykańskie. Być to może. U nas za wiele się mówi i pisze, a dziecko zanadto krępuje się pedagogicznemi więzami. Za mało atoli myśli się o tem, że w późniejszem życiu przeważna ilość ludzi nie będzie mieć nauczyciela pod ręką, ale za to książkę, i że mogliby sobie w książce poszukać rady zamiast u nauczyciela.

Trzeba się uczyć korzystać z książek. Praktyczni Amerykanie umieścili swoje biblioteczki dziecięce w szkołach, czytelnie dziecięce w bibliotekach publicznych, a dzieci z instytucyi tych korzystają samodzielnie i z taką swobodą, jakiej i dobrze wychowanemu niemieckiemu uczniowi nigdzie się nie przyznaje. Tajemnica atoli tego sukcesu za morzem nie polega jedynie w samych tylko owych instytucyach. Uczy się tam także lepiej i bardziej celowo samego czytania. Pochodzi to z świadomości tego, że nauczyciel powinien się powoli robić zbytecznym, i że książka powinna go zastąpić.

Dzieci nasze pomimo wszystkich szkół tak często nie uczą się — czytać*). Nie nauczą się korzystać z książki. A czego szkoła zaniedba, to dom rzadko uzupełni. Daje się oczywiście w domu dziecku książkę do ręki. Pragnie się, by czytało już dla tego samego, ażeby nie było takie „głośne", i ażeby „zmądrzało." Gdzie atoli rodzina nie czerpie umysłowego pokarmu z tego samego źródła, gdzie czytanie nie odbywa się *wspólnie*, gdzie o rzeczach

---

*) Autor ma tutaj na myśli nie samą umiejętność czytania, lecz chęć i ochotę do czytania w ogóle, które uważa widocznie za fundament samokształcenia się tak potrzebnego i pożytecznego w życiu.

rzutami czas by było skończyć. Nie miejmy się za tak bardzo mądrzejszych i lepszych — od naszych prapradziadów.

Z szczegółów referatu p. Gustowskiego podnosimy twierdzenie jego, że „mamy nadprodukcyę w branży *kolonialnej,*“ t. zn. że — jest za wiele sklepów polskich, handlujących towarami kolonialnemi: kawą, cukrem, mąką i t. p. Przyczyny tej nadprodukcyi upatruje p. G. w tem, że „do założenia interesu potrzeba *mało* pieniędzy.“

My znamy jeszcze drugą przyczynę, bodaj ważniejszą. Otóż na podstawie procederowej wolności, do zakładania sklepików handlowych nie potrzeba — żadnego fachowego wykształcenia. Rzemieślnik, któremu w rzemiośle nie powodziło się, robotnik, który sobie we Westfalii trochę grosza uskładał — czasami i gospodarz na wsi najpierw obok głównego zajęcia zakłada mały sklepik, a gdy interes idzie, oddaje mu się całkowicie. U kolonialistów naszych istotnie często znachodzi się brak fachowego wykształcenia. I to nieraz jest powodem, że w branży kolonialnej wytwarzają się „stosunki wprost nieznośne.“

Czemu?! — Pan G. powiada, że „jeden drugiemu niebywałą robi konkurencyę tak, że w końcu dla wszystkich nic nie zostaje“. Pomijamy nadzwyczajną w tem zdaniu przesadę, że „przez konkurencyę dla wszystkich nic nie pozostaje“. Podkreślamy tylko, naszem zdaniem, wręcz fałszywe twierdzenie, że konkurencya przyczynia się do upadku handlu kolonialnego.

Nauka ekonomii stawia wręcz odwrotne twierdzenie, a musi być w niem coś prawdy, kiedy twierdzenie to w świecie naukowym się przyjęło. Otóż nauka ekonomii twierdzi, że *„konkurencya ożywia i podnosi handel.“* Dlaczego więc konkurencya kolonialistów polskich przyczynia się do — „upadku tej branży?“

Nasampierw nie wierzymy, ażeby o „upadku“ branży kolonialnej już w ogóle mówić można. O ile my branżę tę znamy, to zdaje nam się, że bliżej prawdy byłby ten, ktoby pod pewnymi względami stósunki w branży kolonialnej nazwał niezdrowymi. Do tego przyczynia się niestety poruszony wyżej fakt, że wielu bez fachowego wykształcenia „robi się“ kolonialistami. Skutek jest ten, że towar początkowo źle kalkulują, sprzedają go niżej ceny. Gdy doświadczenie ich pouczy, że należy inaczej kalkulować, i gdy ceny podniosą — klientela odchodzi do innego, który tak samo musi najpierw zapłacić t. zw. „naukowe,“ ponosząc tyle i tyle strat.

Winę tych niezdrowych stósunków ponoszą poniekąd i grosiści, hurtownicy. Oni to bowiem z powodu konkurencyi, bez należytego zbadania majątkowego położenia klienta, — zawalają go towarami, których on później nawet w konkursie sprzedać nie może.

Na podstawie tych wywodów naszych nie godzimy się na wniosek p. Gustowskiego, aby przestrzedz młodych *kupców* przed etablowaniem się; dobrego *„kupca“* przed etablowaniem przestrzegać nie potrzeba. On będzie wiedział, co robić, i obliczy sobie warunki „za“ i „przeciw“. Przestrzedz raczej należałoby tych, którzy bez „kupieckiego“ wykształcenia — a więc na ślepo zakładają sklepiki. Oni bowiem nie tylko szkodzą sobie, ale i polskiemu kupiectwu całemu, budząc doń nieufność i dając pozorne dowody na zarzuty tych, którzy hasła „swój do swego“ uznać nie chcą — rzekomo dla tego, że kupiectwo polskie nie dorosło jeszcze do swego zadania.

Nie zupełnie przekonuje nas p. Gustowski, twierdząc, że i branża drogeryjna jest przepełniona.

Bliższego atoli rozpatrzenia wymaga sprawa — jak nazywa p. Gustowski — „rosnącego dla naszego kupiectwa *groźnego* niebezpieczeństwa ze strony nowych spółek — „Rolników.“

I tu znowu przesada. Jak niebezpieczeństwo, — to zaraz „groźne.“ I w czem upatruje pan G. to „groźne niebezpieczeństwo?“ Otóż w tem, że „Rolnik“ ze Żnina także — mąką handluje! Pan G. widzi zaraz, że „Rolnik“ skupia w około siebie całe (!?) okoliczne włościaństwo, szlachtę i chłopów“ (włościaństwo a „chłopi“ to co innego?), że „jeden drugiego napędza do „Rolnika“ — że wszelkie zapotrzebowania spożywcze i w żelaztwie pokrywać będą spółki“. — Jako ostatni wniosek takiego przedstawienia rzeczy widzi p. Gustowski, że „znikną składy, a miej-

---

czytanych się *nie rozprawia,* gdzie *rodzice, dzieci i rodzeństwo wzajemnie się nie* uczą, tam napędzanie do czytania nic nie pomaga. Dziecko idzie własną drogą, wybiera sobie książki za poradą mniej lub więcej powołanych towarzyszy, i w ten sposób czyta wiele rzeczy, których ojciec lub matka widzieć nie mogą. W najlepszym razie wybór książek jest taki jak wybór przyjaciół! — zawsze to, co najweselsze, co najbardziej bawi, co najwięcej wywołuje podziwu, co najbardziej jest tajemnicze, często rzeczy trywialne, truciznę dla ciała i dla duszy. Przeciętny chłopak nie pozna nic więcej prócz Robinsona Kruzoego i innych powieści indyańskich. Dziewczę kończy swoje czytanie na powiastkach dla podlotków. W ten sposób unikają oni oczywiście wszystkich rzeczy nudnych, tak samo jak przez swobodny wybór swoich przyjaciół skrupulatnie omijają t. zw. „oschłe dusze“. Ale w ten sposób nie idą w wyż. Pozostają na drodze między błotem a łąką. Rzeczy wesołe jako chwilowe rozrywki są dobre — nie są atoli dobre na *wychowawców.*

Wychowawcy nasi (pedagogowie uczeni) zajmowali się literaturą dla młodzieży od dawna, poważnie i skutecznie. Przedewszystkiem wyrzucili dużo przestarzałych szpargałów, które jedynie przez wzgląd na pięknie brzmiące nazwy dzieciom dawano. W miejsce to nagromadzili książek nowych, przeważnie bardzo dobrych, które i dorośli czytają a przynajmniej czytać powinni. Czy atoli wszystkie dobre są dla dzieci, o tem należy powątpiewać. Przekonałem się, że rzeczy te, choć uznane za „literacko wartościowe“ książeczki dla dzieci, pochodzące z bibliotek licznie używanych, wracają zupełnie czyste — a więc nie czytane. Trzeba więc to, co jest dla młodzieży odpowiednie, jeszcze lepiej zbadać, a mianowicie *wśród dzieci samych.* Gdy się z dziećmi częściej i bez ogródki o książkach rozmawia, gdy się w ten sposób dowiaduje, co je zainteresowało, jakie wrażenie ta lub owa z książek po sobie pozostawiła, wtenczas przekonać się można o tem, co i nadal dziecku dawać należy, a co nie. Więcej należałoby o to jeszcze dorosłych pytać. Wtenczas to niejedna książka, która bynajmniej nie jest literackiem arcydziełem, wykaże się jako znakomite dzieło dla młodzieży. W tej mierze napotyka się wśród życiorysów często na zdumiewające uznania. Nauczyciel, który *posiada zaufanie* swoich uczniów, albo byłych uczniów, pozna w ten sposób najłatwiej to, co się dla młodzieży nie nadaje. A spowiedź taka będzie często dla dziecka, które ma wyrość na człowieka, bodźcem do tego, ażeby braki swoje uzupełnić i starać się o poznanie czystszych duchów.

Dawny przymus wychowawczy w szkole w ogóle nie wiele co zdziałał, tutaj zawodzi on zupełnie. Dziecko oczywiście zabiera ze sobą książki, które ma czytać, oddaje je także, przysposobi się w najgorszym razie do zda-

sce ich zajmą spółki „Rolniki.“

Zdaje nam się, że p. Gustowski kupiectwu naszemu kiepskie świadectwo wystawia takiem przedstawieniem rzeczy. Tylko bowiem nietęgi kupiec albo kiepski Polak obawia się, że go konkurencya zgubi.

Do rzeczy samej zaś powiadamy to. I my bardzo nieufnie odnosiliśmy się do „Rolników,“ kiedy je poczęto zakładać. Obawy p. G. nie w tej przesadnej formie w stósunku naszym do „Rolników“ znaczną odgrywały rolę. Minęło atoli od powstania „Rolników“ lat trzy przeszło, nie słyszeliśmy jeszcze z ich powodów o żadnej „plajcie“ polskiej — i te obawy p. Gustowskiego dla nas dziś nie istnieją. To atoli bynajmniej nie przeszkadza, że na wniosek p. G., ażeby „Rolniki“ trudniły się tylko handlem zboża i, co najwyżej sztucznymi nawozami, żelastwem zaś, gdzie niema kupca-Polaka tej branży — zupełnie się godzimy. Pod tym względem odnosimy się jednakże z zupełnem zaufaniem do patronatu „Rolników.“ Zresztą „Rolniki“ na razie mają do walczenia z trudnościami technicznemi. Brak im wyszkolonego personału — nawet do branży zbożowej. Zanim te trudności pokonają, sądzimy, że rozmiar handlu zboża z nimi tak się rozwinie, że czasu i sił na konkurencyę w innych branżach a szczególnie z kupcami polskimi im nie stanie.

Propozycyę p. Gustowskiego, ażeby Związek Tow. Kup. poparł założenie *polskiego biura informacyjnego* uznajemy za dobrą. Wydaje nam się jednak, że Związek Tow. Kup. bez porozumienia się ze Związkiem Spółek zar. myśli tej w czyn nie poprowadzi.

Tyle co do pierwszego referatu — o drugim pomówimy w następnym numerze.

Z Królestwa Polskiego.

Warszawa, 1-go lipca 1907.

(Stanowisko opinii wobec wyborów. — Agitacya rządowa na wsi. Z prasy. — Zmiany na urzędach).

Społeczeństwo nasze jest zbyt żywotne i zbyt długą ma szkołę walki wśród okropnych warunków bezprawia, aby ukaz z 16-go czerwca mógł wyprowadzić nas z równowagi.

W kraju ustala się opinia, aby mimo okrojenia przedstawicielstwa Królestwa Polskiego w Dumie z 36 do 12 posłów — nie tylko stanąć do wyborów, lecz i tak je przeprowadzić, ażeby rezultat wyborów mógł stanowić należytą i dosyć wyraźną odpowiedź Polaków, na cios na nas wymierzony. Wśród powszechnego oburzenia na rząd rosyjski, utrwala się przekonanie, że rozpaczać ani załamywać rąk nie należy. Gotujemy się do odpowiedzi, która ma Rosyi urzędowej świadczyć, że w Polsce nadal panuje zwarta jedność, trwa bez zmiany zaufanie do kierowników polityki narodowej i sama polityka nie uległa żadnej zmianie...

Od wyborów dzieli nas zaledwie parę miesięcy, więc też czas nagli.

W kołach narodowych zdecydowano już zwołać niezwłocznie mężów zaufania po powiatach, wzmocnić organizacyę prowincyalną, zwłaszcza wśród ludu, rozpatrzeć sytuacyę wytworzoną przez ukaz carski z 16-go czerwca, ustalić pogląd w myśl wskazań sfer kierowniczych polityki narodowej i poczynić kroki przygotowawcze do kampanii wyborczej.

Rząd oczywiście również nie zasypia sprawy i rozpoczyna po raz pierwszy w okresie (żeby tak rzec) konstytucyjnym agitacyę na własną rękę i we własnym interesie. Agitacya idzie naturalnie dosyć nieudolnie sposobami pierwotnymi. Agenci rządowi, przeważnie umundurowani żandarmi i policyanci, — bo innymi zwolennikami rząd u nas nie rozporządza — usiłują wzniecić w ludzie niechęć do obecnej polityki polskiej i wogóle do „panów.“ Agenci namawiają włościan, aby dawali głosy tylko na wyborców-włościan, aby znowu ci wybrali posłem chłopa, bo poseł-pan nie myśli o doli chłopskiej, opowiada, że chłopom polskim ziemi nie potrzeba, że wyrobnik w Polsce pracę ma dobrą, a oprócz tego takie poselstwo pańskie ciągle zaczepia cesarza i rząd, który jest zmuszony obciążać, karać biedny, niewinny naród kontrybucyą.

Intencye — jak widzimy — wcale niezłe, ale cóż kiedy chłopi śmieją się z tej żandarmskiej ewangelii; głoszonej w mowie łamanej, upstrzonej zwrotami rosyjskimi.

Wkraczając na drogę propagandy

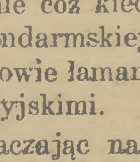
---

nia niezbyt surowego egzaminu, ale czytać będzie ono to tylko, co dusza odczuwa i pojmuje.

Do dobrych książek nie łatwo znajduje dziecko drogę. *Między dzieckiem a książką jest głęboka przepaść,* przez którą szczupła tylko liczba i to najzdolniejszych bez obcej pomocy przechodzi. Ważniejszem więc od wszystkich literackich i psychologicznych egzaminów z badań dzieci jest tutaj *osobiste z dzieckiem obcowanie* i osobisty nasz na duchowe życie dziecka wpływ. Czytajmy dziecku z książki, opowiadajmy mu z niej, zapoznawajmy je z rzeczami, wypadkami, zjawiskami, w których w książce mowa, gdziebądź na spacerze, przy robocie, na ławce szkolnej — a wkrótce zainteresuje się ono książką tak, że samo nam z niej zada tysiące pytań i poczyni w niej tyleż odkryć. Zapomina się często, że duch nie rozpala się od martwych kart książki, lecz od ciepłego życia, ale i „lud“, „niewykształceni“ dorośli zazwyczaj nie wiedzą, co począć z nauką, która się w książce chowa. W bibliotekach ludowych półki z książkami naukowemi zawsze są pełne, książki przeznaczone dla rozrywki natomiast zawsze są między ludźmi, a gdy nadto dobre książki są illustrowane, to je czytają wszyscy, dzieci i dorośli. Lud chce czerpać naukę z ust uczonych przez oglądanie opisywanych rzeczy. Lud nie może czytać bez wszystkiego poważniejszych poezyi. Gdy się jednakże ktoś znajdzie, kto je głośno i dobrze czytać umie, wtenczas i takie książki znajdą drogę pod strzechę robotniczą i wieśniaczą.

Tak też jest z młodzieżą. Im więcej będzie dobrych nauczycieli i dobrych ojców, tem prędzej i łatwiej znajdą nasze dzieci drogę do książki, a książka do dzieci. Kto sam przyjrzy się historyi własnego wykształcenia, ten przeważnie poza dobrą książką, która go posunęła naprzód, ujrzy twarz swego przyjaciela lub nauczyciela. Ci ludzie, którzy czy to na ławie szkolnej czy gdziebądź rozbudzili w nas głód duchowy, a potem pokazali, gdzie znajdziemy dla niego pokarm, ci nas też nauczyli czytać, a przez to wprowadzili nas do szkoły ludzi wielkich, którzy żyją i uczą poza czas swojego życia i zakresu.

Budźmy w dzieciach głód duchowy! Przekleństwo wszelkiemu nudziarstwu w domu i szkole, a wtenczas one się nauczą czytać: nie tylko do czego pcha je umysł młody, ale i rzeczy poważne, głębokie, wiecznotrwałe. Zanim w książce znajdzie szczęśliwe chwile, niech ono je przeżywa w *naszej* „szkole“). Tak chce prosta droga natury.**



**) Autor niema tutaj na myśli szkoły jako takiej, lecz raczej osobisty wpływ, duchowe obcowanie rodziców i wychowawców z dzieckiem To nazywa „szkołą“. — Red.

czynnej, rząd rosyjski stara się u nas powstrzymać teraz wszelką krytykę, która by propagandę jego hamowała. W ciągu ostatnich paru tygodni zostały zawieszone w Warszawie wszystkie pisma ludowe niemiłe rządowi i jedno na prowincyi („Ziemia lubelska“ w Lublinie), właśnie najbardziej wśród ludu popularne i przez lud wiejski czytane. Wprawdzie na miejsce zawieszonych powstają zaraz inne w tym samym duchu, lecz pod grozą procesu, konfiskaty, lub nawet zawieszenia zaczynają przemawiać jakimś językiem przedziwnym i sprawy, które najbardziej ludzi interesują zaczynają omijać o trzy wiorsty.

Taki stan rzeczy czyni koniecznym istnienie pism tajnych, nielegalnych, które też zostały obecnie wszystkie wznowione. Z narodowych pism wyszedł świeżo *„Kiliński,“* organ Narodowego Związku Robotniczego, równie krakowski *„Polak“* rozpoczął swą zwykłą tyloletnią błogosławioną wędrówkę po wioskach i mieścinach Królestwa Polskiego.

Niebawem ustąpi z Warszawy zapewne wielkorządca kraju jen. Skałłon, miejsce jego ma zająć osławiony jenerał gubernator Moskwy — Herschelmann. Zmiany te mają nie ulegać już żadnej wątpliwości, nie zrobią zresztą w społeczeństwie żadnego wrażenia.

Warszawę trapią obecnie ciągłe represye, których dokonywa sławetna „ochrana,“ osobny wydział tajnej policyi, zależny wprost od Petersburga. Rewizye te odbywają się zupełnie bez ładu i składu, mają wszakże ten wspólny cel, że zawsze coś się znajdzie.

Nieraz znajduje się rzeczy nadzwyczajne n. p. nagła rewizya „ochrany“ w mieszkaniu pani L., żony sławnego śpiewaka, której mąż bawi na występach we Francyi czy Hiszpanii, znalazła..... młodego człowieka. Odprowadzono go na wszelki wypadek do kancelaryi policyjnej. *Z.*

Listy lwowskie.

Lwów, 29 czerwca

(Agitacya strejkowa; Biuro korespondencyjne; w sprawie studentów z Królestwa; wybory galicyjskie; Liga obyczajności społecznej.)

Zbliżający się czas żniw i zbiorów niesie jednocześnie groźbę nadchodzącego strejku rolnego. Po raz pierwszy w roku 1902 agitatorzy rusińscy i socyalistyczni podburzyli włościan ruskich, aby nie poszli do roboty właścicielom większych obszarów ziemskich w Galicyi Wschodniej. Większą własność w Galicyi wschodniej tworzą przeważnie Polacy, pewien procent (szczupły zresztą) — żydzi. Chcąc zniszczyć żywioł polski w wschodniej części kraju, Rusini myśleli, że, odebrawszy robotnika do zbierania plonów, zgnębią Polaków materyalnie, a co zatem idzie: zniweczą ich wpływy społeczne i polityczne. Tymczasem najsilniejszy ze strejków, strejk w r. 1902-gim sprowadził tylko klęski materyalne Rusinom, wpływów jednak Polaków, jakkolwiek tych materyalnie cokolwiek zniszczył, — bynajmniej nie uszczuplił, a owszem spowodował jeno organizacyę sił narodowych na wschodzie, gdzie dotąd organizacyi żadnej polskiej nie było.

Ponawiane po 1902-gim roku strejki, ponawiane corocznie, nigdy większych niż wówczas terenów nie obejmowały i podobnie jak wtedy kończyły się zawsze klęską strejkujących. Obecnie wszczyna się znów agitacya strejkowa. Teren do niej przygotowały już strejki poprzednie, przygotowała agitacya za reformą wyborczą do parlamentu, agitacya przedwyborcza, agitacya obecna za reformą sejmową. Nadchodzą obecnie ferye wakacyjne młodzieży akademickiej i gimnazyalnej; te bez wątpienia pójdą na wieś siać złowrogie hasła nienawiści klaso-

Naród Polski

pod obcem panowaniem.

53) **Opowiedział**

Julian Baczyński.

(Ciąg dalszy).

Nie wykonywano też wcale konstytucyi, jak należy. Zamiast wolności druku wprowadzona została cenzura, sejmowi nie przedkładano wcale budżetu wydatków i dochodów państwowych. Działał też zupełnie samowolnie w. ks. Konstanty, nie zważając wcale na konstytucyę. Wbrew niej zaprowadził żandarmeryę w miejsce gwardyi narodowych, urządził tajną policyę, która szpiegowała wszystkich obywateli nawet w życiu domowem, ścigał, więził i karał bez miary i litości. Dopuszczał się szalonych wybryków w prześladowaniu redaktorów pism, akademików i gimnazyastów, do czego miał osobną instytucyę policyjną, którą kierował kasztelan Obszelwic. Ulubieńcem jego był naczelnik policyi, wiceprezydent Warszawy, Lubowidzki, który dowolnie rozrządzał majątkiem i wolnością obywateli. Szczególnie brutalnie pastwił się w. ks. Konstanty nad wojskowymi, tak że oficerowie z rozpaczy życie sobie odbierali, a tacy generałowie jak Chłopicki, Sułkowski, Lubieński, Umiński, Wielhorski i wielu innych całkiem z wojska się usunęli.

— Co się dzieje? — wołali zrozpaczeni obywatele polscy — tak wolnomyślny cesarz Aleksander całkiem dla nas się zmienił, konstytucya nasza tylko na papierze, a w kraju panuje samowola rządów, którą cierpieć musimy, aby nie ściągnąć większych nieszczęść i uniknąć zarzutu niewdzięczności!

Muszą się ugiąć pod tem bezprawiem urzędnicy i ministrowie nasi, a gorzej jeszcze, bo są wśród nas tacy, wprawdzie nieliczni, którzy służą za narzędzie dla niecnych działań Konstantego i Nowosilcowa!

Gdy w r. 1820 zebrał się drugi sejm, który znowu osobiście zagaił król Aleksander, wybuchło długo wstrzymywane niezadowolenie narodu. Dnia 28-go września wniósł rząd nową ustawę, która znosiła sądy przysięgłych i jawne postępowanie jakoteż dawną zasadę, iż nikogo nie wolno więzić bez prawnego dowiedzenia mu winy i która przyznawała władzom rozległe prawo karania. Wtedy wystąpiło stronnictwo posłów z ziemi kaliskiej, a na ich czele bracia Wincenty i Bonawentura Niemojowscy z takiem śmiałem zdaniem:

— Odrzucamy wszelkie wnioski rządowe, zmierzające do dalszego ukrócenia konstytucyi, głównie zaś w sprawie odpowiedzialności ministrów!

Wtedy zniechęcony car, wyraziwszy cierpkie słowa swej niełaski, zamknął ten drugi sejm. Zaraz też rozchodzić się poczęły po kraju głosy obawy:

— Teraz już car zniesie całkiem naszą konstytucyę!

I w tej obawie popłynęły do cara najpoddańsze zapewnienia o wierności dla tronu i usprawiedliwiania śmiałości ostatniego sejmu. Od tych objawów wstrzymała się tylko rada obywateli ziemi kaliskiej.

Gdy później rząd wziął pod nadzór policyjny szkoły i prasę, musiał ustąpić z urzędu minister oświaty Stanisław Potocki, a z nim z komisyi oświecenia usunął się Niemce-

wej i narodowej, siać agitacyą strejkową.

Czy atoli uda się znów ten strejk rolny? Jesteśmy optymistami i zdaje się nam, że zakusy agitacyjne będą bezowocne. Chłop ruski jest zdemoralizowany rozmaitemi nigdy nie iszczącemi się obietnicami, jakie agitatorzy rozsiewają, jest zniechęcony do akcyi strejkowej, widząc, że ta nigdy się nie skończyła pomyślnie. Ze strony zaś polskiej poczynają się tworzyć narodowe organizacye we wschodniej Galicyi, stwarzając tem samem konsolidacyę sił i opór wrogiej, brutalnej akcyi.

Ogromnie doniosłym w skutkach okazać się może fakt założenia Biura korespondencyjnego z ramienia Rady Narodowej, mającego o stosunkach polskich informować cały świat cywilizowany. Biuro — wspominaliśmy już o niem w jednym z listów poprzednich — obecnie jest w stadyum tworzenia się. Istnieć będzie w Paryżu. Mieć będzie stałego sekretarza, przy którym będzie istniało ciało doradcze. Wiadomości z Galicyi, Bukowiny i Śląska nadpływać będą na ręce Rady Narodowej, a ta komunikować będzie dalej Biuru korespondencyjnemu. Nie ulega wątpliwości, że akcya nie stanie się specyalnie galicyjską, ale obejmie całą Polskę, a Biuro będzie miało prócz Galicyi ścisły związek z dwoma pozostałymi zaborami. Jak doniosłem być może, okaże się prawdopodobnie niedługo, kiedy zapewne przedsięweźmie akcyę w sprawie przeszkodzenia projektowi rządu pruskiego, dążącemu do wywłaszczenia Polaków.

Młodzież polska w naszym zaborze przedsięwzięła ważną akcyę w sprawie studentów z Królestwa. Wiadomo, że w Królestwie od stycznia 1905 r. młodzież nasza nie uczęszcza do szkół średnich rządowych, bojkotując w ten sposób rosyjską szkołę. Od ustawy carskiej, pozwalającej na zakładanie szkół prywatnych, powstało tam kilkadziesiąt zakładów średnich, gimnazyów, szkół realnych, handlowych i t. p. —szkół prywatnych, mających język polski językiem wykładowym. Rząd rosyjski zakładom takim nie udzielił prawa publiczności, chociaż zakład nauki stoi tam wyżej, niż w szkołach publicznych rządowych. Do szkół prywatnych uczęszcza kilkanaście tysięcy młodzieży, a opuści w roku bieżącym około 1500 uczniów szkoły z patentem dojrzałości. Patent ten jednak dojrzałości bez prawa publiczności nie przyzwala praw studentów zwyczajnych na uniwersytetach austryackich. Aby więc to uzyskać akademicy polscy przedsięwzięli akcyę, aby równouprawnić absolwentów i absolwentki z Królestwa z prywatnych zakładów polskich z absolwentami publicznych szkół rządowych. Decyzya zależy od władz akademickich, od Rady szkolnej krajowej i od ministeryum oświaty.

W parlamencie wiedeńskim, gdzie wiceprezydentem Izby wybrano Polaka dra Stanisława Starzyńskiego, od wtorku rozpoczną się obrady nad nagłymi wnioskami Rusinów radykałów i socyalistów w sprawie wyborów w Galicyi. Chodziło im o zdyskredytowanie Polaków w oczach innych narodowości i przedstawienie Polaków jako najgorszych wsteczników i najbrutalniejszych tyranów. Pomylili się jednak przeciwnicy. Oto wniesiono protesty takie przeciwko wyborom posłów radykalnych — tak że niema w izbie posła z Galicyi przeciwko któremuby nie wniesiono protestu. Wnioski te mieli czoło wnieść tacy posłowie, jak ruscy, przy których wyborach padły trupy, gdzie bito agitatorów do krwi, gdzie księża ruscy z trudem uchodzili pod osłoną żandarmeryi lub kryli się po po strychach przed rozbestwioną tłuszczą; wniosek taki wniósł Ernest Breiter, który sam zerwał wybór, a w czasie agitacyi miał — jak mówią — wydać do 50 tysięcy, byleby przejść. I nie można powiedzieć z czystem sercem, aby tu i tam nie było nadużyć wyborczych. Ale tak samo można to zarzucić posłom polskim,

---

wicz. Ministrem oświecenia został teraz Stanisław Grabowski [1]), człowiek i nie zdolny i bez charakteru, a dyrektorem wychowania publicznego Kalasanty Szaniawski, filozof i pisarz, najszkodliwszy wówczas człowiek w Polsce. Pierwotnie ateusz [2]) potem przesadny i najfałszywszy ten bigot [3]), który w kościele krzyżem leżał, wygrywał pieśni pobożne, w piątki suszył a w osobnym zamkniętym pokoju mięsem się objadał, śledził i dręczył każdą najmniejszą śmielszą myśl postępową. Nowosilcow, Grabowski i Szaniawski wprowadzili upadek szkolnictwa, rozwijającego się dotąd tak pięknie. Wiele szkół pozamykano, a kuratorye [4]) szkół były to raczej nad niemi urzędy policyjne. Pod niesłychanym uciskiem Szaniawskiego na czele komitetu cenzury żadna swobodniejsza myśl nie mogła się przedostać z zagranicy i czasopisma upadały jedno po drugiem. Królestwo Polskie odcięte od świata miało się pogrążyć w zupełnej ciemnocie umysłowej, a zgnębieni obywatele mówili z westchnieniem:

— Czegośmy doczekali! W konstytucyjnej Polsce naszej gorzej jest teraz, niż w samej despotycznej Rosyi!

I zaczęło się prześladowanie. Rozwiązano kaliską radę wojewódzką. Sejmu nie zwoływano przez lat pięć, aż dopiero trzeci sejm odbył się w r. 1825 (dnia 13-go maja).

[1]) Był synem króla Stan. Aug. Poniatowskiego i pięknej Elżbiety Grabowskiej z domu Szydłowskiej. — Sokołowski. IV, 1461.

[2]) Ateusz, z greck., bezbożnik, niedowiarek, nie wierzący w istność Boga.

[3]) Bigot, z franc., świętoszek, nabożniś przesadny w wypełnianiu zewnętrzn. obrządków religijnych.

[4]) Kuratorya, z łac., władza i bióro kuratora tj. wyższego urzędnika, mającego nadzór nad zakładami naukowymi.

Wybranych znowu braci Niemojowskich nie dopuszczono wcale do stolicy. Wincentego, gdy przybył pochwycono u rogatek i trzymano pod strażą aż do wybuchu powstania. Car Aleksander wydał t. zw. „Artykuł Dodatkowy" do konstytucyi, w którym zniósł jawność obrad sejmowych, jedną z głównych podstaw życia konstytucyjnego. Na tym ostatnim ponurym sejmie szeptano głucho między sobą:

— Królestwo nasze nad przepaścią! Wszelkie sprzeciwianie się rządowi skończy się zupełnem zniesieniem autonomii Królestwa i wcieleniem go jako prowincyi do Rosyi [1]).

d. Tajne stowarzyszenia.

Ratunku przeciwko srogiemu uciskowi w całej Europie szukali ludzie w tajnych związkach i spiskach. W Polsce niezadowoleni z rządów nosili oddawna trójkolorowe lub żelazne pierścienie z popiersiem księcia Józefa Poniatowskiego. Tajną organizacyę [2]) związków w celu odbudowania Polski mieli już dawno zawiązać wodzowie legionów, Dąbrowski i Kniaziewicz. Około r. 1819 powstało naraz kilkanaście takich związków we wszystkich dzielnicach Polski, a to pośród ludzi różnych stanów, zawodów i lat od uczniów do senatorów. Byli to: Kosynierzy w Poznańskiem pod kierunkiem generała Mielżyńskiego, później Umińskiego; Bursze polscy w Uniwersytecie Jagiellońskim; Templaryusze na Białej Rusi, Ukrainie i Wołyniu, do których wstępowały także kobiety; Wolni Bracia i inni. Jedno z nich tylko doszło do większego znaczenia. Było to

[1]) Lewicki, 425—428; Limanowski, 96—102.

[2]) Organizacya, z greck., urządzenie pewnego stowarzyszenia, jak wojska, urzędów itd., także całego społeczeństwa według pewnych reguł; także układ. budowa. nowy porządek.

jak w większej mierze posłom radykalnym, gdzie terror i bitwa były głównym atutem przekonywującym.

Wybory te odkryły przerażający brak wszelkiej etyki i obyczajności społecznej. One to tchnęły znanemu publicyście Edmundowi Naganowskiemu myśl powołania do życia Ligi obyczajności społecznenj. Ma to być instytucya łącząca w sobie organizacye abstynenckie, od alkoholu i rozpusty z organizacyami rodzicielskiemi i starszymi, którym leży ta sprawa na sercu. Akcya jest co dopiero wszczęta i mamy nadzieję, że powrócimy do niej niebawem. *M. N.*

Przegląd prasy.

W ostatnim „przeglądzie" podaliśmy kilka protestów rodziców przeciwko niemieckiej nauce religii w szkole. Protesty te są częścią zbiorowe, częścią pochodzą od pojedyńczych ojców.

I dziś mamy przed sobą sporą wiązankę takich protestów. Nie podajemy ich już jednak, ponieważ myśli i tendencya w nich zawarte są te same co w poprzednich. „Pod groźbą kar, aby się nie zrujnować materyalnie, aby nie płacić kar do kasy państwowej — ustępują przed siłą" — oto myśl przewodnia wszystkich protestów. Ustępujemy „przed siłą" nie tylko. Jaka to siła, trzeba bliżej określić. Jest to przemoc fizyczna. Siłą moralną my wyżej stoimy od tych, którzy nas przemocą zmusili do ustępstwa.

Są jednak wśród ludu naszego jednostki, które nie lękają się ani kar ani innych przeciwności. Do nich należy i gospodarz p. Michalak z Golimówka. Napisał on do sądu gnieźnieńskiego, który mu na podstawie § 1666 B. G. B. (omawianego swego czasu w parlamencie) zagroził karami porządkowemi, tak:

„Na żądanie pana sędziego odpowiadam, że żądaniu Pańskiemu zadość uczynić nie mogę i nie pozwolę córce mojej odpowiadać w nauce religii po niemiecku, ani posługiwać się niemieckiem pozdrowieniem, ani po niemiecku się w szkole modlić, ponieważ pragnę przecież wychować dzieci swoje na dzielnych katolików i dobrych poddanych państwa.

Powołuję się także na mowę cesarską, którą cesarz przed 5 laty wypowiedział w Poznaniu i na słowa kanclerza Buelowa, który powiedział, że każdy może mówić, jak mu dziób urósł.

Nie na karę zasłużyłem, raczej na pochwałę i leżeć to powinno w interesie państwa, aby dzieciom naszym religia wykładana była w zrozumiałym języku ojczystym dziecka. Dobrowolnie się nigdy na to nie zgodzę i przeciw takiemu pogwałceniu sumienia protestować będę.

Z uszanowaniem
Franciszek Michalak."

Dziwne myśli tłoczą się po przeczytaniu tego listu do głowy. Pewnie, że ów gospodarz ma racyę, ale kto mu tę racyę przyzna? — Niestety choćby mu ją przyznał i świat cały — to „pruska racya stanu" mu jej nie przyzna. Widać jednak, że lud z sumieniem swojem ciężko się rozlicza, i że trudno, bardzo trudno i boleśnie oderwać mu się od tej walki, do której przywiązywał tyle nadziei — w tej myśli, że przekona on sąd pruski o swojej racyi. Czyżby lud nasz wierzył jeszcze w „dobrą wolę" rządu? — Niestety rządu pruskiego o racyi ludu polskiego ani nawet anioł z nieba nie przekona!

* * *

W życiu naszem społecznem zaczął się od końca czerwca nadzwyczaj ożywiony ruch. Nasza rubryka „wieców, zebrań, zjazdów itd." w każdym nieomal numerze pisze o zjazdach to kupieckich, to przemysłowych,, to rolniczych wreszcie. A wszystko odbywa się celem wzajemnego pouczania, celem podniesienia na duchu. Ten ożywiony ruch społeczny należy powitać

t. zw. *Towarzystwo Patryotyczne* w Warszawie założone przez majora 4 pułku piechoty Waleryana Łukasińskiego. Z początku zakładał on nie zabraniane w Polsce „loże"[1]) wolnomularskie, lecz nadawał im dążności patryotyczne. Gdy rząd stawiał przeszkody założył wraz z podpułkownikiem Machnickim, generałem Umińskim i Teodorem Morawskim tajny związek początkowo zwany Węglarstwem Narodowem, później Towarzystwem Patryotycznem Narodowem (1821) . Polska podzielona została na sześć dzielnic, każda dzielnica na obwody, a te na gminy. Członkowie Towarzystwa dzielili się na różne stopnie, znali zaś tylko swych bezpośrednich naczelników, co utrudniało bardzo wykrycie związku. Związki te rozszerzały się nader szybko i nie upłynęły dwa lata, a Polska cała z wyjątkiem Galicyi pokryła się siecią spisków liczących tysiące członków, między nimi ludzi znakomitych. Ale Lubowidzki, stojący na czele policyi tajnej i zasłużony niegdyś generał Rożniecki, obecnie komendant żandarmeryi, oddany zupełnie Konstantemu, a także minister wojny generał Hauke, wpadli na ślad związku i odkryli go w ks. Konstantemu.

A do wykrycia spisków i wogóle do gnębienia obywateli używała Rosya szczególnego rodzaju policyi, której instytucye nieznane w Polsce, straszne i potworne, przeniosły się wraz z w. ks. Konstantym i Nowosilcowem do Królestwa i stały się wnet plagą dla całego społeczeństwa. Nie wystarczała Konstantemu i Nowosilcowi t. zw. „wyższa wojskowa sekretna policya", utworzyli więc inny rodzaj tajnej policyi przybocznej. Oprócz Rożnieckiego i Lubowidzkiego kierował nią pułkownik Zass, a ponad nimi był najniebezpieczniejszy ze wszystkich generał Jenszow, Anglik, szczególnie zaufany Konstantego. Istniała dalej policya uliczna z fryzyerem Makrotem na czele i policya zagraniczna, czuwająca nawet nad członkami rodziny carskiej. Do najohydniejszych czynności używany był generał Gendre. Jakby olbrzymia sieć pajęcza zbiegały się wszystkie wiadomości i donosy w pałacu Belwederskim w Warszawie, gdzie mieszkał w. ks. Konstanty. Nowosilcow ze swej strony zaprawiał do szpiegostwa młodzież w uniwersytecie i w gimnazyach, a osobnych tajnych agentów wysyłał daleko poza granice Królestwa.

Gdy policya wykryła związek Towarzystwa Patryotycznego Narodowego, zostali aresztowani Łukasiński i inni naczelnicy związku, jak Dobrogojski, Dzwonkowski, Machnicki, Koszucki, Prądzyński, Cichocki (w maju roku 1822). Ustanowiona nadzwyczajna komisya zaczęła działać, ale przez przeciąg dwóch lat nie odkryła nic nad wolnomularstwo. Wbrew konstytucyi zebrał się sąd wojenny, który Łukasińskiego zdegradował z godności wojskowej i skazał na 7 lat robót publicznych, Dobrogojskiego i Dobrzyckiego na lat 4. Innych uwolniono, lecz oddano pod dozór policyjny. Dnia 1 października 1824 roku odbył się na placu Krasińskich smutny akt łamania szpady przez kata nad głowami skazanych i zdzieranie z nich odznak honorowych, poczem ubrano ich w bluzy aresztanckie. okuto w kajdany i wywieziono do Zamościa.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

[1]) „*Loża*", z franc., mała izba, lub część izby z rozwartą ścianą, przegródką, gabinet; w wolnem mularstwie: miejsce zgromadzenia, samo zgromadzenie. ogół członków.

ze szczerą radością. Toż niejedno wśród zjazdów padnie ziarno zdrowej, życzliwej krytyki, niejedno gorące słowo, budzące cześć dla swego zawodu i powołujące młodsze pokolenie, by w pracy około podniesienia swojego zawodu nie ustawało, by dążyło wyżej i wyżej! Pragnęlibyśmy, ażeby żądza doskonalenia się i postępowania naprzód we wszystkich gałęziach i zawodach, na które rozkłada się nasze społeczne życie, stało się jak najbardziej powszechne i ogólne.

Tu pragniemy wskazać na jeden sposób, przez który nie słowem, ale czynem zachęca się do doskonalenia się. Sposobem tym, to — wystawy. Czem są wystawy, o tem czytamy z okazyi wystawy czeladzi i terminatorów w Ostrowie w *„Gazecie Ostrowskiej“* między innemi co następuje:

„rezultat wystawy wykaże jasno i niezbicie, jak wysoko stoi stan rzemieślniczy i przemysłowy naszego okręgu.“

„Gazeta Ostrowska“ nie uważa wystawy

„bynajmniej za przegląd i wystawę prac czeladzi i terminatorów, lecz za *przegląd bardzo dokładny i wszechstronny poziomu umysłowego i moralnego i wykształcenia fachowego naszego stanu rzemieślniczego.“*

Pisze dalej, że z wystawy dowiemy się,

„czy przemysł nasz rodzimy może iść w zawody z przemysłem obcym, czy ma społeczeństwo obowiązek bezwzględnego popierania naszych rzemieślników i przemysłowców bez uszczerbku dla siebie.

Z liczby wystawionych przedmiotów, doboru i wykonania dowiemy się **które gałęzie przemysłu stoją u nas najwyżej, którzy z naszych przemysłowców i rzemieślników** mają odwagę publicznie się pochwalić i iść publicznie w zawody z pracami wykonanemi w ich warsztatach. Liczba nadesłanych prac świadczyć będzie nie o czeladzi i terminatorach zatrudnionych u poszczególnych majstrów, lecz o majstrach samych. Boć przecież jest rzeczą jasną, że jeżeli majster nie użyczył swemu personałowi czasu i materyału na wykonanie prac wystawowych, to albo obawiał się prac wykonywanych w jego warsztatach pokazywać publicznie albo też jest tak zmateryalizowanym i zacofanym w swych pojęciach, że nie zasługuje na dalsze poparcie społeczeństwa, ponieważ daje społeczeństwu tem samem dowód, że sprawa publiczna i ogólna z niego nigdy korzyści żadnej mieć nie będą.

Wystawa wykaże, czy rzemiosło nasze podążyło z postępem czasu, czy rozumie własny interes i czy zna własne braki.

Zainteresowanie się majstrów wystawą świadczyć będzie o żywotności naszego stanu rzemieślniczego, wykaże czy możemy rzeczywiście być tak dumni z naszego rzemiosła, jak to się ogólnie mówi.“

Zupełnie piszemy się na taką ocenę znaczenia wystawy. Kupiectwo i rzemiosło polskie będą się u nas musiały zgodzić na to, że społeczeństwo nasze rośnie w doświadczenie, że i najgłośniejsze nawoływania prasy „swój do swego“ nabiorą wtenczas dopiero odpowiedniej wagi, kiedy kupcy i przemysłowcy polscy *pokażą*, że stoją tak wysoko jak ich konkurenci obcy.

Przemysłowcy mają po temu najlepszą okazyę na podobnych wystawach jak w Ostrowie. Równocześnie odbywa się wystawa także w Gostyniu. Ciekawi jesteśmy oceny obydwóch wystaw.

* * *

W ostatnich numerach *„Dziennika Kujawskiego“* znajdujemy kilka artykułów, które wśród ogólnego nawoływania na końcu kwartału do ponownego zaabonowania pism — dodatnio się wyróżniają. Z pośród tych artykułów zasługują na wzmiankę o „Straży na Kujawach“, której ziarno na Kujawach nie zeszło należycie, bo — zdaniem „Dzien. Kuj.“ —

„hodowlę jego powierzono ludziom, nie mającym dość siły i woli, ażeby się

Feljeton.

=) a (= **Złote ziarna**, zebrane z dzieł pisarzy polskich przez *Władysława Bełzę*. Mnożą się na półkach księgarń polskich wydawnictwa, którym z lubością nadaje się miano „złote ziarna.“ Wydawnictwa te — przyznać trzeba — są bardzo pożyteczne. Zawierają one najczęściej w szczupłym, jednym tomiku najpiękniejsze myśli, któregoś z dygnitarzy pióra i myśli polskiej — albo myśli większej ilości naszych poetów, literatów, filozofów, polityków itp. Do ostatniej kategoryi wydawnictw należą „Złote ziarna“ zebrane przez Wł. Bełzę, znanego w świecie literackim pisarza polskiego, którego utwory znane są także czytelnikom „Pracy.“ „Złote ziarna“ Bełzy zawierają perły myśli pisarzy polskich począwszy od *Mikołaja Reja* i Jana Kochanowskiego, a skończywszy na autorach doby naszej — Wyspiańskim, Żeromskim, Rodziewiczównie i innych. Dziełko to polecamy uwadze naszych czytelników. Wydawcą „Złotych ziarn“ jest znany *w Poznaniu prof. Karol Kozłowski*. „Złote ziarna“ drukowane są w drukarni L. Anczyca i Spółki w Krakowie.

=) a (= **Am Alten Markt zu Posen** — *Max Berg*. Pod powyższym tytułem (na Starym Rynku w Poznaniu) wyszła niedawno w Lesznie nakładem księgarni Ebbecke'go książka, którą autor, nieznany nam bliżej Max Berg zalicza do rodzaju „Polenroman aus der deutschen Ostmark.“ Ma to więc być według intencyi autora romans oparty na tle stósunków na „niemieckich kresach wschodnich.“ — Mniejsza o nazwę, tytuł lub intencye autora, dość że książka jego stosunki polsko-niemieckie w dzielnicy naszej w fałszywem najzupełniej przedstawia świetle. Oto przyczyna, ażeby książką tą w jednym z najbliższych numerów „Pracy“ zająć się nieco obszerniej.

=) a (= **„Tygodnik illustrowany“**; nr. 25 warszawskiego „Tygodnika illustrowanego“ poświęcony jest sprawom polsko-niemieckim. Znajdujemy w numerze tym artykuły oceniające już to stanowisko mocarstwowe Rzeszy niemieckiej (Odosobnienie Niemiec) już to specyalnie nasz stosunek do Niemców (My a Niemcy) jako narodu, w którym autor p. *Bol. Lutomski* ściśle przestrzega różnicy pomiędzy Niemcem a Prusakiem, składając całą winę za to co się dzieje w zaborze pruskim na karb ostatnich. Na szczególną wzmiankę zasługuje artykuł *Wład. Nawrockiego* o „Wolności Polski w poezyi niemieckiej“. Snać nie zawsze Niemcy uważali zaboru ziem polskich przez Prusy jako — „dobrodziejstwo“ wyświadczone Polakom, skoro poeci jak Chr. D. Schubert, albo *Julian Mosen*, twórca znanej pieśni „Walecznych tysiąc opuszcza Warszawę“ czyli właściwie „die letzten zehn vom vierten Regiment“ świętym „dla sprawy polskiej“ przejęli się zapałem. Poeci polscy Kazimierz *Tetmajer* i Artur Opman składają w wierszach swoich, pierwszy („Z wierszy dla mego synka“ K. Tetmajer — „Za kroplę mojej niemieckiej krwi“ — A. Opman (Or-Ot) niejako śluby wiekuistej dla Polski czci i przywiązania. — W tekscie jest kilka obrazków, odnoszących się do przeszłości i teraźniejszości polsko-niemieckiej.

=) a (= **Herby szlachty polskiej:** Dowiaduję się, że w Poznaniu wkrótce ukaże się nowe wydawnictwo pod podanym tytułem. Wydawcą jest p. *Antoni Fiedler*, znany wydawca kart obrazkowych pocztowych i illustracyi.

z swej strony przyczynili do jego wzrostu i wydania plonów obfitych. I otóż stało się to, co przewidywaliśmy. W krótce po założeniu „Straży“ u nas organizacya narodowa legła ugorem. Znaleźli się zaraz ludzie, którym to dla sprawy publicznej nie chce się nawet ani palcem w bucie ruszyć i ci wypróbowaną metodą próżniaków dla uniewinnienia swej gnuśności zaczęli rozszerzać teoryę o braku doniosłości „Straży“ i zniechęcać do niej licznych jej dotąd zwolenników.“

Z artykułem tym w logicznym związku stoją trzy inne o potrzebie „większej łączności“ i o młodzieży naszej, a szczególnie o naszej „inteligencyi miasteczek“.

Że tysiące Polaków do żadnej organizacyi jeszcze nie należy — tego pewnie dowodzić nie potrzeba. Słusznie więc zwraca się „Dzien. Kuj.“ do prasy polskiej, by jak najbardziej popierała organizacye polskie. Przypomnienie takie jest zawsze na czasie.

Jest to jednakże jedna z tych spraw, o których wciąż się myśli i pisze, w którą raz mniej drugi raz więcej wlewa się serca i zapału. Nie zapoznając atoli znaczenia tej sprawy, w tej chwili więcej wagi przypisujemy dwom innym artykułom, które ciekawe światło rzucają z jednej strony na młodzież naszą, z drugiej strony na naszą małomiejską inteligencyę.

„Dzien. Kuj.“ stwierdza nasamprzód, że młodzież nasza obecna jest jakaś „ospała i że brak jej życia“.

Przyczynę tego objawu upatruje — w wychowaniu i w odłączaniu się starszych od młodzieży.

„Brak łączności — pisze dosłownie — między starszą generacyą a młodzieżą spowodował smutny skutek. Pozostawieni na uboczu, na próżno młodzi domagali się tej łączności. Sama praca na polu nauki nie wystarczała dla ich życia; nic dziwnego, potrzebowali jeszcze rozrywki, towarzystwa, a co zatem idzie, i pewnego moralnego kierunku. Nie znaleźli ostatnich; pozostawały więc dla rozrywki: kufel piwa i kij bilardowy, które mogą wprawdzie zaprowadzić do domu obłąkanych, lecz nigdy wlać w duszę siłę i wartość moralną.“

Godzimy się na to zdanie „Dzien. Kuj.“ i za słuszne uważamy, ażeby starsi i doświadczeńsi łączyli się z młodzieżą. Jedno pokolenie powinno zdobycze swej pracy i doświadczeń przelewać na drugie, — inaczej każde pokolenie robotę musi poczynać od nowa, tracąc na zbieranie doświadczenia niepotrzebnie czas i siły. Kto wie, czy w takich warunkach nie trzeba się w końcu obawiać nie tylko „uśpienia“ młodzieży, ale zupełnego jej zobojętnienia dla spraw ogółu.

Taką samą wagę przypisujemy do wskazówek dla inteligencyi małomiejskiej, ażeby „przełamała seperatyzm“ dzielący ją od kół mieszczaństwa. Nie ulega wątpliwości, że wielu doktorów, księży, aptekarzy po małych miastach odgranicza się „chińskim murem“ od małomieszczan. A ileż by dobrego mogli zrobić?!...

„Czytelnie ludowe — pisze „Dzien. Kuj.“ — spółki rzemieślnicze, kasy zaliczkowe, wspólne przedsiębiorstwa rolnicze i przemysłowe i t. d. mogłyby powstać i rozwinąć się pod wpływem miejscowej inteligencyi na takim gruncie, na którym nie umiały dotąd przyjąć się i urość.

Od nich to wychodzić by mogła agitacya przeciw pijaństwu i lichwie, od nich wyjaśnienie potrzeby oszczędności; oni by mogli za rękę poprowadzić chłopka, popadającego już w szpony lichwiarza, do kasy pożyczkowej lub uczciwego banku; oni wreszcie wpajaliby pierwsze zasady życia obywatelskiego, jego prawa i obowiązki, a w ten sposób mogliby w krótkim czasie dwa wielkie żywioły, małomiejski i wioskowy, pozyskać dla sprawy ojczystej.“

Czy inteligencya małomiejska spełnia to swoje zadanie?

Tydzień polityczny.

Przypominam sobie obraz, który przedstawiał ciszę wieczorną. Na firmamencie niknące promienie słońca —

Nowe wydawnictwo zakrojone na duże rozmiary. Ma ono obejmować 40 zeszytów, w każdym zeszycie mają być 4 tablice, z których każda przedstawiać ma 5 herbów w pięknym kolorowym druku. Pan F. sprowadza papier do swego wydawnictwa z Belgii. Tekst ułożony przez *Zbigniewa Leszczyca*, drukowany będzie specyalnie sprowadzonymi czcionkami i na „czerpanym“ papierze, naśladującym w łudzący sposób stare pergaminy. Dzieło całe zostanie poprzedzone słowem wstępnem pióra *Glogera*. Pierwszy zeszyt ukaże się 15 lipca. Zeszyty drukowane będą in quarto. Wydawnictwo to w kołach szlacheckich licznych zapewne znajdzie odbiorców. My w każdym razie z tego nowego wydawnictwa w dzielnicy naszej tylko szczerze cieszyć się możemy. Może z czasem znajdzie się ktoś, który zamiast herbów szlacheckich, podejmie się wydać ginące pamiątki dawnych zwyczajów i strojów wśród mieszczaństwa i ludu!

„Biblioteka Warszawska“. Numer czerwcowy zawiera następujące artykuły i rozprawy: Kartki z pamiętnika przez Rom. *Zogińskiego;* Luna — przez *Kaz. Zdziechowskiego;* Ruch literacki w Niemczech — przez *J. Kaczkowskiego;* Tło historyczne III części Dziadów — przez *Henr. Mościckiego;* Karły jako pra-rasa przez *K. Stołyhwę;* Sąd estetyczny — przez *T. Jaroszyńskiego;* Piśmiennictwo, Kronikę miesięczną, Wiadomości naukowe, literackie i bibliograficzne — Sprostowania.

—) a (— **Biblioteka dzieł wyborowych.** Pod nr. 489 B. D. W. wyszła w tłómaczeniu p. *Maryi Feldmanowej* powieść angielska „Oliwia Latham“ napisana przez p. E. L. Voynich. Pani E. L. *Voynich* jest, jak p. Feldmanowa pisze w przedmowie, żoną znanego antykwaryusza w Londynie, Polaka, nazwiskiem *Woynicz.* Pan W. znany jest z zarania ruchu społecznego w Warszawie. Żona jego, Angielka rodem, jest powieściopisarką. Napisała trzy piękne powieści, z których Oliwia Latham „ukazuje dusze wielkie, hartowne, kształtowane w ogniu wielkiej idei wyzwalającego się człowieczeństwa.“ Powieść „Oliwia Latham“ wyróżnia się zdaniem p. Feldmanowej dodatnio na tle tak często z angielskiego tłómaczonych powieści tandetnych.

„Przewodnika zdrowia“ nr. 6 i 7 (na czerwiec i lipiec) (Czarnowski Berlin Weissenburgerstr. 27) wyszedł i zawiera następujące artykuły: Powrót do przyrody a lecznictwo (Podług prof. Bergmanna). — Jak można rozpoznawać choroby z oczu? — Pogląd krytyczny na metodę rozpoznawania chorób z oczu. — Kiedy jest wskazaną operacya przy zapaleniu ślepej kiszki? — Ważność kliniczna czarnych jagód. — Przestrogi i rady. Rozmaitości.

„Kupiec,“ organ Związku Tow. kupieckich, nr. 11, zawiera następującą treść: Na nowy kwartał. II. Ogólny Zjazd kupiecki. Związek niemieckich właścicieli składów cygar. Żywotne kwestye dla naszego handlu. Towaroznawstwo (z rycinami). Zabezpieczenie na wypadek śmierci. Kronika przemysłowa. W sprawie „Rolnika“. Zebranie podróżujących polskich. Ważne wiadomości ze świata handlowego. Konjunktury.

„Prasa Polska“. W Milwaukee (Wis) w Ameryce Półn. poczęła wychodzić „Prasa Polska“, organ stowarzyszenia gazet polskich w Ameryce. „Prasa“ wychodzi miesięcznie i kosztuje 25 ct. na cały rok.

od nich odbijał się krajobraz przedstawiający dolinę z szeroką rzeką w pośrodku, w oddali kontury miasta... Cienie zalegały niebo, ziemię. Noc zapuszczała swoją zasłonę na dolę i na niedolę ludzką.

Przypatrując się obrazowi temu, miałem złudzenie, że na świecie jest tak zacisznie, spokojnie i dobrze.

Złudzenie! Światło słoneczne budziło do życia ludzi, a z nimi walkę, gonitwy, wzajemne ubieganie i zmaganie się... Zdaje się, jakby słońce miało na sobie klątwę budzenia życia — boju.

Ten obraz złudzenia, spokoju, ciszy i szczęścia przypomina się, gdy czytam doniesienia o konferencyi pokojowej w Hadze. Tylko obraz złudzenia jest odwrotny. Życie-bój budzi się pod jasnemi promieniami słońca. To, co na konferencyi się ujawnia, o czem się mówi, co jest głośne — objawia chęć i pragnienie pokoju. W cieniu, w ukryciu serc pozostaje żądza własnego interesu poszczególnych państw, a te własne interesy państw chowają w zarodku bratobójczą waśń i walkę — boga-wojnę, zniszczenie, nieszczęście ludów!!

Nie mogę uwierzyć w szczerość intencyi ani inicyatorów, ani delegatów, ani królów państw poszczególnych, dopóki wśród cichych odgłosów pokoju brzmieć będą fanfary pogróżek, surmy t. zw. „zbrojnego pokoju". Czyż przyjdzie do rozbrojenia? — Kiedy? Czy człowiek człowieka, ludzie nie tylko ale i narody wzajemnie się tak pokochają, że zamiast z mieczem w dłoni witać się będą oliwną różdżką pokoju?!

Biorę atoli i pochwalam to, że robi się coś, że się mówi o powszechnem pokoju. Może wnuki nasze słowa tego nie będą uważały za pusty dźwięk, może nadają mu znaczenie tonu realnego, może pokój w serca pragnienie zamienią. I stanie się! . . . .

. . . .

Tymczasem jesteśmy świadkami wzajemnych targów nie o pokój, ale o złagodzenie przejawów wojny. Najważniejszą ze spraw, jakie w Hadze obecnie są na porządku dziennym, to sprawa „międzynarodowego sądu apelacyjnego". Sąd taki według propozycyi *Anglii* ma być utworzony dla rozpatrywania łupów wojennych zdobytych na morzu.

Dotąd jest tak, że strony wojujące zabierają nie tylko zdobyte na przeciwniku okręty wojenne i handlowe na swoją własność, ale zabierają także i okręty handlowe państw neutralnych, jeżeli takowe przewożą materyały wojenne, z którychby przeciwnik korzystać mógł.

Anglia chce, ażeby i nadal wolno było zabierać zdobyczne okręty przeciwnika — chce atoli z pod praw kontrabandy wojennej oswobodzić wszystkie okręty stron neutralnych.

Przeciwko temu wnioskowi Anglii wystąpiła Ameryka, która żąda zakazu konfiskaty okrętów stron wojujących, dozwala atoli na chwytanie kontrabandy. Niemcy chcą, ażeby konwencya genewska znalazła zastosowanie i w wojnie morskiej. Na razie ścierają się przeciwne w sprawie tej zdania. Czy przyjdzie do jakiego porozumienia wobec tak silnych przeciwieństw?! Nam pozostaje pod tym względem przesyłanie do Hagi samych tylko — pobożnych życzeń.

Nowe trójprzymierze: Drugą po konferencyi hagskiej najważniejszą sprawą jest wiadomość o zawartem pomiędzy Anglią, Hiszpanią i Francyą przymierzu, mocą którego trzy te mocarstwa gwarantują sobie obecny stan posiadania na morzu Śródziemnem i na Oceanie Atlantyckim.

Przymierzo to ma podwójne znaczenie. Gwarantuje każdemu ze sprzymierzonych pomoc i wzajemne ustępstwa w sprawach, które mogły być i często istotnie bywają przyczyną wzajemnych waśni. Przytoczmy tylko dążenia Anglii do opanowania Egiptu, Francyi do opanowania oprócz Tunisu, Alżeryi także Marokka. Hiszpania spodziewa się przy pomocy Anglii i Francyi odzyskać głos i dawne wpływy w sprawach politycznych ogólnoświatowych.

Drugie znaczenie tego przymierza jest ogólno-światowe. Po upadku Rosyi przewaga mocarstwowa Rzeszy niemieckiej groźnie zawisła nad Europą i jak to wykazała konferencya w Algeciras poważnie niepokoiła pokojowe tendencye innych państw europejskich, w pierwszym rzędzie Anglii i Francyi. To też oba te państwa przedsięwzięły przeciwstawić Rzeszy niemieckiej taką siłę polityczną, któraby uśmierzyła jej wojownicze zachcianki. Usiłowania te odniosły skutek. W Algeciras gorączkowa polityka niemiecka skąpała się w kuble zimnej wody — Niemcy ujrzały się osamotnione, odosobnione. Nowe trójprzymierze angielsko-francusko-hiszpańskie uważać należy jako nowego zakładnika zbrojnego pokoju, jako przeciwwagę przeciwko zachciankom wojowniczym, jakie w przeciwnym trójprzymierzu niemiecko-austryacko-włoskim objawiała — Rzesza niemiecka.

Rzesza niemiecka: Po zmianach w ministeryach pruskiem i Rzeszy nastąpiła na razie w obozach politycznych chwila wyczekiwania. Plejada pism t. zw. liberalnych zajmuje względem nowych osobistości stanowisko wyczekujące, pomimo że zalicza ich do obozu konserwatywnego. Obóz liberalny co raz bardziej obawia się o utratę zdobytego przez ostatnie wybory wpływu i nawołuje się do jedności. Czy jednakże usiłowania około zjednoczenia grup liberalnych odniosą jaki skutek, o tem pojedyńcze grupy same powątpiewają. Odzywają się wśród nich nawet głosy niewyraźne o zbliżeniu się do socyalistów.

Francya: Clemenceau stoczył nową walkę i wyszedł z niej zwycięzko z radykalnymi swoimi przeciwnikami. Walka ta odbyła się na tle zatargu winniczego w południowej Francyi. Clemenceau podjął na własną rękę zabiegi około uspokojenia ruchu winniczego, przyjął przywódcę hodowców wina Alberta. Wydało się nawet, że pożyczył mu sto franków i wydał list gwarantujący mu wolność, pomimo, że poprzednio wydano przeciwko niemu rozporządzenie aresztowania. Z tego powodu zrobiono prezesowi ministrów zarzut, że wykroczył przeciwko konstytucyi francuskiej, że wykroczył nawet przeciwko prawom państwowym. Zamiast bowiem aresztować Alberta, nie tylko go przyjął u siebie, ale — zagwarantował mu wolność. Albert tymczasem, utraciwszy skutkiem pertraktacyi z rządem wpływy swoje, sam się stawił do więzienia. Ruch winiarzy się dotąd nie uspokoił. Jednakże pisma niemieckie przesadne podają o tym ruchu wieści. Chodzi im o to, żeby podkopać wpływy Clemenceau. Widoczne to z ich referatów o przebiegu rozpraw, jakie się odbyły w izbie poselskiej francuskiej w sprawie winiarzy. Widocznie energiczny Clemenceau nie jest Niemcom wygodny.

Rosya: W Moskwie odbył się w tych dniach zjazd ziemców. Uwidoczniły się na tym zjeździe wpływy żywiołów umiarkowańszych, które w osobnych rezolucyach potępiły anarchię i teror, domagając się równocześnie powolnych reform. Rząd tymczasem konsekwentnie tłumi wszelkie dążenia wolnościowe. W jednym tygodniu zamknął w samym Petersburgu 8 pism, kilkunastu redaktorów skazał na wysokie kary pieniężne, a dwóch nawet wtrącił do więzienia. — Nie dziw, że w takich warunkach napady i rabunki nie ustają, że nie milkną szczególnie wieści o śmiałych kradzieżach pieniędzy z kas państwowych, podejmowanych przez bandytyzm. — Kadeci postanowili na zjeździe w Finlandyi brać udział w

wyborach do III. Dumy. Jaką ta Duma będzie? — Oto pytanie, na które na razie jasnej odpowiedzi ani opinia rosyjska, ani polska dać nie umie. W każdym razie i Polacy gotują się do nowych wyborów.

Dziwny ten świat! Chce szczęścia, ale kroczy do niego przez nieszczęście, które się rodzi z żądz tajnych w niezbadanych głębiach serc ludzkich.

I. Sw.

Listy od przyjaciół.

Hilden, dnia 25-go czerwca 1907 r

Szanowna Redakcyo!

Czytałem już nieraz korespondencye z obczyzny, ale jeszcze nigdy nic nie czytałem o Polakach w Hilden pod Dyseldorfem. Choć nie zawodowy pisarz, lecz zwykły robotnik, ośmielam się jednak o życiu i stosunkach tutejszych rodakom donieść.

Polaków jest tutaj blisko 100, z których około 30 jest członkami tutejszego towarzystwa polsko-katolickiego „Jedność“, pod opieką św. Jakóba. Towarzystwo to założono dzięki staraniom rod. p. Jana Fibikowskiego, dnia 28. maja 1905 roku.

Pan Fibikowski nie żałując kosztów ni trudów zdołał rodaków tutejszych do przystąpienia do tow. nakłonić, które się dziś dość pomyślnie rozwija.

Tow. obchodziło dnia 9 ub. m. swą drugą rocznicę istnienia, która się odbyła z następującym porządkiem:

Teraźniejszy przew. p. Józef Kierblewski, otworzył uroczystość przywitaniem zgromadzonych staropolskiem pozdrowieniem, dziękując zarazem zgromadzonym za tak liczne przybycie. Potem zaśpiewano pieśń: „Kto się w opiekę...“

Po prześpiewaniu pieśni jeszcze raz pan przew. przemówił zachęcając rodaków do przystępowania do tow. oraz do dbania o rozwój tegoż.

Teraz udzielił przew. głosu tutejszemu ks. proboszczowi, znanemu z swej przychylności dla Polaków, który nas swą obecnością zaszczycić raczył.

— Moi kochani Polacy — były jego pierwsze słowa — uważam sobie to za zaszczyt być tutaj między narodem, którego przodkowie „przedmurzem chrześciaństwa“ zwani byli. Żeby nie Polacy, toby dziś całe Niemcy, a może i cała Europa zalane były mahometaństwem.

Sam papież, oraz inne narody prosiły króla polskiego Jana III Sobieskiego o pomoc.

Lecz póżniej wszyscy zapomnieli już o tej przysłudze, jaką Polacy uczynili dla chrześciaństwa. Uczynili Polsce wielką krzywdę rozdzierając ją na trzy części.

— Ale chociaż wam Ojczyznę wydarli — mówił dalej czcigodny mówca — waszej narodowości oraz wiary waszej nie jest nikt w stanie wam wydrzeć. Póki wiarę przodków zachowywać będziecie, nie zginiecie, gdyż „upaść może naród wielki, lecz zginąć tylko nikczemny.“

W końcu przestrzegał mówca przed socyalistami itd.

Mowa księdza prob. trafiła zgromadzonym do serca, to też nagrodzono ją długotrwałemi oklaskami.

Teraz podziękował przew. czcigodnemu mówcy za wypowiedzenie tak pięknych słów. Zgromadzeni wykrzyknęli mu trzy razy: niech żyje! Potem nastąpiły mowy Szan. delegatów z sąsiednich towarzystw. Mieliśmy i tutaj sposobność słyszeć piękne mowy. Chociaż jesteśmy rzuceni w to morze germanizmu, to jednak staramy się kochać i cenić co polskie, co swojskie. Trafiają się też i tutaj jednostki, które chodzą luzem, nie uczęszczając do tow., w kościele ich naturalnie też nie widać; ale dzięki Bogu takich tutaj nie wielu się znajduje.

Po przemowach delegatów zabrano się do tańca, w czasie którego wypowiedzieli członkowie tow. „Jedność“ z Hilden Michał Jaskulski, oraz Michał Łopatka piękną patryotyczną deklamacyę na temat: „Ojczyzna i Obczyzna.“

Także członkowie z sąsiednich tow. wypowiedzieli piękne deklamacye, za co im się należy uznanie.

Bardzo piękną deklamacyą wypowiedział 10 letni synek członka Tow. „Jedność“ pana M. Bromki. . Zgromadzeni słuchali z natężoną uwagą słów chłopca, który się z swego zadania dobrze wywiązał. Panu Bromce należy się uznanie, iż dzieci swe tak dobrze uczy i to nie tylko mówić, ale i czytać i pisać po polsku. Niestety i tutaj są tacy, którzy się szczycą z tego, iż ich dziecko już umie „dajcz.“ Smutne to ale prawdziwe! Wogóle cały przebieg zabawy był uroczysty, to też nam pozostanie na długo w pamięci.

Przewodniczącemu, p. Józefowi Kierblewskiemu należy się uznanie za trudy i mozoły, których nie szczędził, ażeby zabawa dobrze wypadła.

W imieniu Tow. dziękuję Szanownym Rodakom i Rodaczkom za tak miłe przybycie.

Członek Tow. „Jedność“ w Hilden

. . . . . *cki.*

Wiece, zebrania, zjazdy i uroczystości towarzyskie.

Szanowne Zarządy towarzystw, pragnących, ażeby ich ogłoszenia o zebraniach i t. p. na czas pomieszczone były w „Pracy“, prosimy, ażeby doniesienia swoje przesyłały nam najpóźniej *do środy wieczorem.* W razie świąt przypadających na drugą połowę tygodnia, t. j. na czwartek, piątek lub sobotę, prosimy o przesyłanie nam swych komunikatów — *o dzień wcześniej. — Za doniesienia nadesłane póżniej, redakcya „Pracy“ nie przyjmuje na siebie żadnej odpowiedzialności.*

* * *

Poznań—św. Łazarz W dniach 14 i 15 lipca odbędzie się z obfitym programem zjazd okręgu poznańskiego Towarzystw Przemysłowych, i to z okazyi 15-tej rocznicy założenia Tow. Przemysłowców na św. Łazarzu. Oprócz zabawy i zwykłych spraw na porządku dziennym zasługuje na specyalną wzmiankę 1) wykład p. Bernarda Milskiego, redaktora „Gońca“ na temat: pogląd na obecne położenie naszych towarzystw, oraz 2) zwiedzanie d. 15 b. m. miasta Poznania i jego zabytków. Zjazd odbywa się, jak czytamy w odezwie: celem pokrzepienia ducha i zaczerpnięcia otuchy do dalszej pracy, oraz omówienia naszych żalów, niedomagań i potrzeb.“ — W tej myśli życzymy zjazdowi jak najlepszego powodzenia. Szczegółowy program zjazdu można znaleść we wszystkich pismach codziennych. Szczupłe łamy „Pracy“ niestety nie pozwalają nam na przedruk.

* * *

W Nakle odbędzie się wiec w niedzielę dnia 7-go lipca o godz. 4 i pół po południu na sali hotelu „Kaiserhof“ (M. Rakowski). Na wiecu przemawiać będzie delegat z Poznania p. dr. *Tadeusz Jaworski.* O liczny udział Szanownych Rodaków z powiatu wyrzyskiego uprasza

Komitet.

* * *

W Inowrocławiu odbędzie się dnia *8 lipca walne zebranie* Towarzystwa organistów pod op. św. Wojciecha o godz. 2 po południu w Ochronce. Porządek obrad jest następujący: 1. Zagajenie, wybór przewodniczącego, zastępcy. 2. Przeczytanie protokółu z ostatniego zebrania. 3. Sprawozdanie delegatów. 4. Śpiew z kancyonału. 5. Odczyt X. Kleina. 6. Deklamacya. 7. Wybór Zarządu. 8. Wnioski.

Przewielebne Duchowieństwo i Szanownych P. P. kolegów o liczne przybycie niniejszem uprzejmie prosi

Zarząd.

* * *

W Kruświcy odbędzie się dnia 7-go lipca r. b. na sali p. Szybowicza *Zjazd Towarzystw Przemysłowych okręgu inowrocławskiego* z następującym programem:

Rano o godzinie 9 nabożeństwo na intencyę Zjazdu w kolegiacie kruświckiej — z kościoła wspólny pochód do lokalu p. Szybowicza, wzajemne zaznajomienie się i posiłek dowolny.

O godzinie 11 plenarne posiedzenie. Porządek obrad:

1) Powitanie i zagajenie zjazdu. 2) Odczytanie protokółu z ostatniego zebrania prezesów. 3) Referat p. dr. Riemera z Kruświcy: „Nasz rozwój ekonomiczny od roku 1815". 4) Dyskusya. 5) Wolne wnioski i zamknięcie Zjazdu.

O godzinie 2 i pół po południu wymarsz wspólny do parowców, poczem przejażdżka po Gople, powrót zaś około godz. 7 do lokalu p. Żaka, gdzie koncert i zabawa w ogrodzie, w razie niepogody na sali tamże.

O liczne przybycie delegatów i gości serdecznie prosi

Zarząd okręgowy.

Ig. Kornaszewski, prezes. *K. Marzycki,* sekretarz.

* * *

W Kruświcy odbędzie się dnia 14-go lipca o godz. 3 po poł. na sali p. Żaka pod Myszą Wieżą *walne zebranie* Kółek rolniczych powiatów inowrocławskiego i strzelińskiego.

Porządek obrad: 1) Zagajenie. 2) Ukonstytuowanie biura. 3) Odczyt gospodarza Zgórskiego z hub kuśnierskich: „Na co gospodarz zważać powinien, chcąc mieć dochód z hodowli inwentarza. 4) Odczyt gospodarza Haja z Kraska: „Któremu z synów, kiedy i pod jakiemi warunkami gospodarstwo zapisać się powinno, chcąc je utrzymać w rodzinnym ręku". 5) Odczyt syna gospodarskiego Burzyńskiego z Chełmc: „Korzyści z pszczół i prawidłowe obchodzenie się z niemi". 6) Wolne głosy.

Na zebranie przybędzie Patron. O jaknajliczniejszy udział wszystkich członków i życzliwych uprasza gorąco

Dr. Edward Trzciński. wicepatron.

* * *

W Wilhelmshaven odbędzie się zebranie Tow. „Jedność" w niedzielę dn. 7 lipca o godz. 6 po południu w lokalu *Heinrichshof.* — Na porządku obrad: Organizacya. O liczny udział członków oraz rodaków prosi *Zarząd.*

Listy do redakcyi.

Freiberg saski, dnia 27 VI 1907.

Szanowną Redakcyę

proszę uprzejmie o łaskawe umieszczenie w łamach Swego pisma następującego artykułu:

„Towarzystwo studentów Polaków akademii górniczej" — Kasa Bratniej Pomocy we Freiburgu saskim ogłasza niniejszem, że niżej wymienieni byli członkowie, koledzy Feliks Chodorowicz, Wenancjusz Kukliński, Aleksander Tatarski pomimo dwukrotnych ogłoszeń dotychczasowych długów względem tejże Kasy nie uiścili.

Kasa Bratniej Pomocy we Freiburgu saskim.

Ignacy Krause.

Freiburg in Sa., Petersstrasse 21.

Inne pisma prosimy o łaskawe przedrukowanie niniejszego artykułu.

Wiadomości.

* **Związek Polaków w Niemczech.** *Mężów zaufania* prosimy najuprzejmiej o skrzętne donoszenie nam o wszelkich sprawach, dotyczących naszego życia narodowego, a mianowicie o krzywdach i przeszkodach, wyrządzanych nam ze strony przeciwnej, o potrzebach naszych w kierunku krzewienia oświaty narodowej i organizacyi. Gdzie potrzeba w celu wzajemnego pouczania się i krzepienia sił naszych *wieców*, tam chętnie pospieszymy z pomocą kochanym braciom naszym.

Za dotychczasową pracę dla organizacyi naszej składamy z tego miejsca naszym mężom zaufania najserdeczniejsze podziękowanie i prosimy o dalsze łaskawe poparcie. Praca narodowa nie daje korzyści materyalnych, lecz tem więcej zadowolenie moralne, że spełniamy najświętszy obowiązek około utrzymania najszlachetniejszego dobra dzieci naszych, tj. mowy, obyczajów i wiary ojców naszych.

A zatem, bracia, rączo do pracy narodowej! Czuj duch!

Komisya wiecowa Związku Polaków.
Hipolit Sibilski, sekretarz. *Ign. Zniński,* przewodniczący.
Franc. Matysiak, Jan Kaczor, Jan Wilkowski.

Uwaga: Listy prosimy adresować: H. Sibilski, Bochum Lindenstr. 1.

* **Główny Komitet Wyborczy** *dla Polaków w Westfalii, Nadrenii i prawincyi sąsiednich po lewym brzegu Łaby:* Na walnem zebraniu G. K. W. w Gelsenkirchen w dniu 29-go czerwca r. b. przyjęto i zatwierdzono ostatecznie nowy regulamin wyborczy, dzielący organizacyę wyborczą polską na G. K. W. w liczbie siedmiu członków, Zjazd Delegatów okręgowych w liczbie około trzydziestu, Kom. Okręgowe jako jednostki terytoryalne, na których się opiera organizacya, wreszcie na Kom. Powiatowe i miejscowe, jako ciała pomocnicze. — W skład G. K. W. weszli następujący członkowie:

1. Apolinary Wojczyński z Gelsenkirchen prezes,
2. Andrzej Kranc z Gelsenkirchen II. prezes,
3. Ignacy Żniński z Bochum sekretarz,
4. Jan Kolenda z Dortmundu II. sekretarz,
5. Piotr Sztul z Günnigfeld skarbnik,
6. Wawrzyn Franka z Bochum ławnik,
7. Jan Wilkowski z Bruchu ławnik.

Delegatem do Polsk. Centr. Kom. Wyb. w Poznaniu jest p. A. Wojczyński z Gelsenkirchen, zastępcą delegata Ignacy Żniński z Bochum.

Bochum, 1-go lipca 1907.

Ignacy Żniński, sekretarz G. Kom. Wyb.

* **Walne zebranie polskich podróżujących** kupców (wojażerów) odbyło się w ubiegłą niedzielę w Domu katolickim celem naradzenia się *nad zorganizowaniem kupców podróżujących.* Uchwalono założyć Towarzystwo pod nazwą *„Związek podróżujących kupców na rzeszę niemiecką"* i przyjęto ustawy, obejmujące 40 paragrafów. Do „Związku" zgłosiło swe przystąpienie 121 kupców podróżujących Polaków. Najlepszy to dowód, że „Związek" zaraz na początku stanął na silnej podstawie, z której go nie usuną obcy, zwłaszcza żydowscy podróżujący. Szczęść Boże „Związkowi".

* **W sprawie osiedlenia się polskiego spedytora w Kościerzynie** zgłaszają się skutkiem podanej w „Pracy" i w innych naszych gazetach notatki różni interesenci do nas po informacye. My ich odsyłamy do osoby, która nam nadesłała wiadomość odnośną.

Ważną następującą notatkę zamieściła w powyższej sprawie „Gazeta Grudziądzka" w numerze 79-ym:

„W sprawie polskiego spedytora w Kościerzynie donosi nam nasz korespondent, że rodak nasz p. Józef Bonczyński prowadził tam interes spedytorski przeszło 8 lat. Tamtejsi jednak kupcy i przemysłowcy coraz mniej go popierali, tak, że p. B. nie chcąc stracić wszystkiego musiał interes ten zwinąć. Teraz zaś gdy żyd pozostał bez konkurencyi i podwyższył ceny, żądają znów spedytora Polaka! — Czy może na to, by swój majątek stracił? — W tej samej sprawie donosi nam p. Tomasz Rogalla, że ze sprawą tą nic niechce mieć do czynienia. Również nadmienia, iż dzięki niepoparciu ze strony polskiej zmuszono p. B. do zwinięcia owego interesu."

Wobec powyższego zalecamy wszystkim interesentom ostrożność.

* **Rzadki jubileusz:** Poznański cech szewski obchodził ubiegłej soboty i niedzieli jubileusz 625 letniego istnienia. Obchód odbył się nader uroczyście wśród niezliczonej ilości gości z wszystkich stron księstwa nie tylko, ale nawet z Warszawy. Cech poznański należy do najstarszych w Księstwie. Rezerwując sobie bardziej szczegółowy opis rzadkiej uroczystości do następnego numeru, zasełamy z tego miejsca cechowi-jubilatowi serdeczne życzenia na przyszłość.

* **Niemiecka gospodarka:** Wśród licznych upadłości niemieckich banków w ostatnich czasach wyróżnia się upadek banku w *Malborgu* tem, że 1) wydarzył się w twierdzy krzyżactwa 2) i że zarwał niezliczoną ilość kupców i przemysłowców na okrągłe 4 miliony marek. Samo miasto Malborg

figuruje w tej sumie stratą 400 000 mk. — Czytelnikom naszym zwracamy tem bardziej uwagę na hasło: polski grosz do polskich banków!

* **T. C. L.** Pewna część bibliotekarzy nie nadesłała jeszcze dotąd książek do wymiany.

Ponieważ jest jednak życzenia godnem, aby o ile możności wszyscy skorzystali z nadarzającej się sposobności i gruntownego uregulowania czytelni, przeto przedłuża się niniejszem termin do odesłania książek *do 15-go lipca* i proszę zalegających P. P. Bibliotekarzy usilnie, aby w interesie własnym i czytelników nadesłali do tego dnia wszystkie książki celem zamiany.

Poznań, 1-go lipca 1907.

Dr. Stefan Michalski,

* **Majętność Modrze** *pod Czempiniem* z przyległościami, składająca się z kilku folwarków, razem blisko 5000 mórg ziemi obiecanej, z wspaniałym pałacem w przepysznym wielkim parku, z parową gorzelnią przeszło 1200 beczek kontyngentu, mleczarnią, cegielnią i t. d. od nieomal stu lat w rękach znanej niemieckiej rodziny Baarthów — przeszła mocą kupna i to z dniem 30-go z. m. na własność Domu Bankowego Drwęski i Langner (Marcin Biedermann) w Poznaniu; zdanie gospodarstwa już nastąpiło.

Modrze, z kościołem, szkołą, szosą i dworcem w budowie będącym, — uchodzi ogólnie za jeden z najlepszych majątków Księstwa. To też cena kupna wynosi blisko dwa i pół miliona marek, przy natychmiastowej wpłacie przeszło jeden milion marek.

Majętność ta podzieloną będzie pomiędzy licznych przyległych gospodarzy, a główny klucz oddany będzie w całości w ręce pewne.

* **Wieś rycerską Śmieszków** pod Czarnkowem około 2500 mórg obszaru — od p. Taczanowskiego przez dom bankowy Drwęski i Langner (Marcin Biedermann) w Poznaniu co dopiero nabytą, już sprzedano dalej. Nowonabywcą jest rodak nasz p. Jerzy Kulak, dotychczasowy dzierżawca dóbr Gołuchowskich w Pleszewskiem, własności księcia Czartoryskiego. Zdanie gospodarstwa już nastąpiło.

bibl. główny T. C. L.

* **Procesy o strejk szkolny. Dnia 2-g b. m. skazała izba karna poznańska wydawcę i redaktora „Gwiazdy" i „Krainy Powieści", p. *Zygmunta Marwega*, za rzekome nawoływanie do strejku szkolnego, którego się dopatrzono w artykule wstępnym zamieszczonym w numerze 26-tym „Gwiazdy" pod tyt.: „Próba sił na tle walki kulturnej" na 100 mk. kary lub 10 dni więzienia. Prokurator wniósł o 200 mk. kary lub 20 dni więzienia.**

Ks. proboszcza Kopernika z Wągrówca skazała izba karna gnieźnieńska za rzekome podburzanie do strejku szkolnego na 150 mk. kary lub 10 dni więzienia. Co do § 130a (o ambonie) nie można było oskarżonemu udowodnić nic karygodnego i w tej sprawie uwolniono ks. K.

Panów Ignacego Witta, Palucha i Lenartowskiego z Wągrówca skazała powyższa izba karna za strejk szkolny, każdego na 30 marek kary.

Księdza dziekana Szaala z Czarnkowa skazała izba karna w Pile za rzekomą obrazę nauczyciela Weidlicha z Czarnkowa na 500 mk. kary.

* **„Gazeta Katolicka"** w Król. Hucie na Śląsku, organ centrowy, ma przestać wychodzić. Centrowcy tyle już na nią wyrzucili na próżno pieniędzy, że im się już odechciało dalszych nakładów. Centrowcy z pismami polskiemi zrobili wszędzie nader smutne doświadczenia. Założony w Olsztynie na ubicie „Gazety Olsztyńskiej" „Warmiak" już upadły, a teraz przyszła kolej na „Gazetę Katolicką." Widocznie wśród ludu polskiego wzmaga się świadomość narodowa i dlatego lud polski podobnych pism nie czyta. Losy „Warmiaka" i „Gazety Katolickiej" przypominają wydawaną swego czasu przez poznańską policyę „Gazetę ludową," która pożarła moc pieniędzy, a nie zdołała nikogo omamić.

* **Polacy na obczyźnie.** „Wiarus Polski" donosi, iż redaktor jego, p. Michał Kwiatkowski, przemawiał na wiecu robotniczym w Łodzi. Wśród ogromnego zapału polecono mu, aby robotnikom polskim pod zaborem pruskim, a mianowicie robotnikom polskim na obczyźnie, przywiózł jak najserdeczniejsze pozdrowienie od stojących na gruncie narodowym i chrześciańskim robotników Polaków Polski zaboru rosyjskiego.

* **Dla rodziców i opiekunów!** Na ogłoszenie nasze w sprawie umieszczenia chłopca-sieroty u kupca lub rzemieślnika otrzymaliśmy 80 zgłoszeń!

Dowodem to, jak wielki jest brak uczniów i pomocników w kupiectwie i rzemiośle.

Rodzice lub opiekunowie, którzyby z nadesłanych nam zgłoszeń korzystać i synów swych lub pupilów korzystnie umieścić chcieli, zechcą zgłosić się w godzinach przyjęć do biura „Straży" (przy Alejach 18).

Wspomniany chłopiec został już umieszczony.

Dr. Tadeusz Jaworski.

* **Chleb dla swoich.** (Ogłoszenie XXIII. z dnia 30-go czerwca 1907). **Następujący rodacy, posiadający zakładowy kapitał znajdą bez współzawodnictwa swoich, dobre utrzymanie: 1) adwokat, 2) lekarz, 3) maszynista (samodzielny), 4) kupiec towarów łokciowych, 5) kupiec bławatów, 6) kupiec żelaza, 7) piekarz, 8) cholewkarz, 9) dzierżawca składu drogeryjnego i kolonialnego, 10) fryzyer, 11) piekarz dzierżawca, 12) mleczarz, 13) mechanik fabryczny z wyż. wykształceniem.** Oprócz tego są do nabycia od obcego: młyn wodny, od swoich: **skład krótkich towarów i stroju, handel żelaza** w powiatowem mieście i restauracya.

Bliższych informacyi udzieli biuro „Straży." Adres: Dr. Tadeusz Jaworski Poznań — Posen.

Prosimy o znaczek na odpowiedź.

---

* **Rodak** zapytuje się na tej drodze Szanownych Czytelników gdzieby mógł *założyć skład porcelany, szkła* i t. d. i liczyć na powodzenie? O nadesłanie ofert prosi do ekspedycyi „Pracy" pod lit. St. J.

* **Pan H. Laskowski** w Ostrowie ulica Gimnazyalna 8, chętnie chce nabyć za dobrem wynagrodzeniem następujące numera „Pracy": 1. 3. 4. 5. 8. 9. z roku 1902 i 28. 29. z roku 1904.

* **Ignacy Pokornowski** *w Bernburgu Wolfgangstr. 45* prosi o adresy do swoich braci: *Józefa Pokornowskiego* mieszkającego dawniej w Swarzędzu pod Poznaniem i *Ludwika Pokornowskiego* mieszkającego dawniej w Poznaniu (ulica Sienna Flurstr.) bo poczta listy pisane przed kilku tygodniami do braci mu zwróciła z powrotem z dopiskiem: in Schwärsenz nicht bekant, aus Posen verzogen.

Nekrologia.

† Ś. p. *Eugenia z Gibesów Elsner*, **dnia 26-go z. m. w Bydgoszczy, przeżywszy lat 73. R. i. p.**

† Ś. p. *Adam Dyczkowski*, **dnia 28-go z. m. w Poznaniu w 65-ym roku życia. R. i. p.**

† Ś. p. *Michał Wybicki*, **dnia 30-go z. m. w Golubiu, (Prusy Zachodnie), przeżywszy lat 72. Zwłoki złożono w grobach familijnych w Mszanie pod Brodnicą. R. i. p.**

† Ś. p. *Henryk Gregor*, dnia 28-go z. m. w Dąbrówce, przeżywszy lat 81. R. i. p.

† Ś. p. *Helena Płoszyńska*, dnia 30-go z. m. w 25 roku życia w Mogilnie. R. i. p.

Nasza ofiarność.

* **Ze sprzedaży kart gratulacyjnych i kondolencyjnych**, *zastępujących telegramy*, wpłynęło do kasy za pośrednictwem p. Kolanowskiej mrk. 22,50, firmy „Hermes" mk. 2,25, p. Brownsford mk. 0,25, p. Bogdana Chrzanowskiego mrk. 11,25, p. Rowińskiego z Ostrowa (księgarnia) mrk 12,50, p. Zielewicza z Hochfeldu mrk. 3,00, razem mrk 51 fen. 75.

Poznań, Ogrodowa 12. — *Kusztelanowa*, skarbniczka.

* * *

* **Na dotkniętych gradem w Baranowie.** Dotąd przysłano na moje ręce 848 mrk 60 fen. Bóg zapłać! O dalsze ofiary prosi

Ks. Klementowski.

Od Redakcyi.

Panu Fr. Slósarczykowi i towarzyszom w Poznaniu. — Chętnie byśmy umieścili, ale odebraliśmy za późno, ponieważ ze względu na uroczystość św. Piotra i Pawła musieliśmy zakończyć redakcyę numeru ostatniego już w środę po południu.

Panu Józefowi P. w Recklinghausen. — „Poradnik Gospodarski" Poznań—Posen — ulica Ogrodowa — Gartenstrasse 13.

Panią Ludwikę Bock z Berlina upraszamy o bliższy adres, celem przesłania wyznaczonej w niniejszym numerze za rozwiązanie szarady nagrody.

Testament bankiera.

Z angielskiego tłumaczył M. P.

17)

(Ciąg dalszy.)

Whiteney rozumiał, w duszy był jednak więcej niż kiedykolwiek przekonany o prawdziwości starego, znalezionego testamentu!

— — — — — — — — — — — — — —

W innej części miasta siedziała tymczasem pani La Grange sama w swoim pokoju i oczekiwała Hobsona. Czas wyznaczony na przybycie jego minął już dawno i słońce chyliło się ku zachodowi, ale było dosyć jeszcze jasno, aby poznać zmianę, jaką ostatnie tygodnie wywołały na twarzy tej kobiety. Rysy jej stały się ostre, a delikatna i biała płeć pożółkła i zwiędła. Tylko oczy zachowały dawny blask i świeciły ponurym ogniem. Gdy ujrzała przez okno zbliżającego się Hobsona, zadrżała i otuliła się mocniej ciemnym szalem przewieszonym przez ramiona.

Zaraz potem usłyszała jego ciche, czołgające się stąpania na schodach, potem lekkie puknięcie do drzwi i Hobson wszedł do pokoju.

Odpowiadając na ukłon adwokata wyniosłem skinieniem głowy, podniosła się pani La Grange z fotelu, usiadła plecami do okna i wskazała mu krzesło.

— Przychodzisz pan późno — rzekła.

— Tak, szanowna pani — odparł jak zwykle, patetycznie — ale starałem się zasięgnąć jak najwięcej wiadomości o tym niespodziewanym wypadku i..., no, co pani myślisz o owym testamencie?

— Wszystko to jest głupstwem, bezczelnością! Nigdy czegoś podobnego nie słyszałam!

— Ale znakomicie ułożone, każdy musi to przyznać. Nowy spadkobierca nie żałuje widać pieniędzy! Wziął Bartonów jako adwokatów, a ci się byle czem nie zadowolnią!

— Co pan mówisz, Bartonów? Nie może być! Ależ w takim razie można przewidzieć dziś już, że Ralf Mainwaring proces przegra!

— Dziwna rzecz, jak się przekonania nasze zgadzają! Chodzi tylko jeszcze o pytanie dla nas: jak mamy postępować dalej pod temi warunkami? Położenie Ralfa Mainwaringa jest bez nadziei, chyba, że......

Tu Hobson znacząco spojrzał na panią La Grange.

— Dokończ pan — nie rozumiem, co chcesz powiedzieć.

— Czy pani nie wiesz, że nikt nie zdoła tak prędko zniszczyć zamiarów tego oszustwa jak pani i ja? Oprócz mnie niema żadnej żyjącej istoty, której rzeczywiście spisanie testamentu i treść jego jest znaną, i kto może dać ważniejsze świadectwo o synie Harolda Mainwaringa jak pani!

— Masz pan słuszność. I co dalej?

— Gdy więc Ralf Mainwaring wyda ostatnie kozery i przekonany będzie o przegraniu sprawy, co da za pomoc, jaką mu wtedy ofiarujemy w ostatniej chwili?

— Nie wiem rzeczywiście, co pan sobie obiecujesz!

— Bardzo przyzwoitą sumę, którą się naturalnie pani i ja, podzielimy. Ralf Mainwaring zapłaci nam tyle, ile zażądamy za usługi, jakie mu oddać będziemy mogli.

— Jesteś pan bardzo naiwnym, jeżeli myślisz, że zdołasz kiedykolwiek zmusić Ralfa Mainwaringa do zapłacenia jakiej sumy pieniędzy, a jeżeli się jeszcze dowie, kim jestem, to będzie wolał rękę w ogień włożyć, niż dać mi grosz z swego majątku!

— Więc wyrzekasz się pani wszelkiej walki?

— Wyrzec się? Nigdy! Raczej umrzeć! Nie, ja chcę się pomścić na Mainwaringach, na całej tej familii, chcę im w podwójny i potrójny sposób odpłacić wstyd i hańbę, jaką mnie okryli!

— Ale jak pani chcesz wykonać tę zemstę?

— Jak? Nie cofnę się przed żadnym środkiem, byleby wydrzeć Ralfowi Mainwaringowi tę sukcesyą. Jeżeli potrzeba, dostarczę świadków, którzy potwierdzą przysięgą, że testament ten jest prawdziwym. Niech wyda cały swój majątek — tem lepiej! Skoro potem przegra proces względem fałszywego pretendenta, to ja tego pretendenta napiętnuję mianem oszusta i dowiodę, że jedyną prawną spadkobierczynią jestem ja!

Hobson gwizdnął cicho przez zęby.

— Ah, szanowna pani, — rzekł, — jest to plan godny twej ambicyi, ale niezmiernie do wykonania trudny. Chcieć — nie zawsze znaczy módz — a szaloną twoją ambicyą i ślepem pragnieniem zemsty popsujesz w końcu wszystko. Przypuśćmy, że Ralf Mainwaring przegra proces, a ten drugi wygra go, i że dowiedziesz, że ten drugi jest oszustem, co z tego wyniknie? Ralf Mainwaring zjawi się natychmiast, zacznie na nowo walczyć z tobą, zwycięży, a pani co? Stracisz wszystko! Chcesz tego?

— Zanim złożę broń w obec jednego z Mainwaringów, wolę umrzeć, — zawołała pani La Grange namiętnie.

— Brzmi to bardzo dumnie, ale pozwól pani sobie powiedzieć, że lepiej byłoby pogodzić się z Ralfem Mainwaringiem, tak, jak to najpierw radziłem, albo przejść do obozu nieprzyjaciela i pokazać mu, że trzymasz go w swych rękach i że możesz go zniszczyć zupełnie!

Ale pani La Grange poruszyła głową przecząco, a Hobson, który wstał, aby się z nią pożegnać, spojrzał teraz uważnie w jej twarz bladą i boleśnie skrzywioną.

— Co pani jest? — zapytał.

— Nic! Myślałam przez chwilę o przeszłości, — odrzekła cichym, dziwnie łagodnym głosem. — Myślałam o tem, jak wszystko byłoby inaczej, gdyby ten nagle z pod ziemi wyrosły nieznajomy rzeczywiście był tym, za którego się wydaje. Wtedy nie potrzebowałabym żadnego adwokata, aby zawrzeć z nim przymierze.

— Zapominasz pani jednak, że i on byłby Mainwaringiem!

— Tak, to prawda, ale byłby równocześnie jedynym tego nazwiska i jedyną w ogóle istotą na świecie, którą kochałabym więcej, niż życie!

Hobson rozśmiał się szyderczo.

— Nie byłbym się nigdy spodziewał słyszeć słów tak pełnych miłości z ust pani! Masz przecież twego Waltera, czy nie kochasz go wcale?

— Waltera! — krzyknęła gwałtownie. — Jakże mam go kochać? W nim widzę zawsze tylko cenę, jaką zapłaciłam, aby pozyskać Hugona Mainwaringa! Waltera kochać? Nigdy!

— Rozumiem, rozumiem, niemile to wspomnienie! Ale, co jeszcze chciałem powiedzieć — pani jesteś mi winną odpowiedzi na ostatnią moją propozycyą.

— I chwilowo zostanę jej winną, — odrzekła wstając i podnosząc dumnie głowę. Najpierw zbadam broń, jaką mój przeciwnik chce walczyć, potem możesz pan mnie raz jeszcze zapytać.

Hobson zamierzał jej coś odpowiedzieć, ale pani La Grange wyszła z pokoju. Nie pozostawało zatem i jemu nic więcej jak opuścić mieszkanie tej dziwnej, nieprzystępnej kobiety.

Przeciwnicy poznawają się.

W kołach, zajmujących się gorliwie procesem Mainwaringów, oczekiwano z niecierpliwością przybycia Umbiji, którym to parowcem miał przybyć tajemniczy spadkobierca bankiera. Ralf Mainwaring mówił ciągle o kłamstwie, oszustwie i o sfałszowanym testamencie, pan Sutherland natomiast opowiadał wszystkim ciekawym, cisnącym się tłumnie do niego, zawsze równie przebiegłym uśmiechem i słowami, które każdy inaczej sobie mógł tłumaczyć. Mówił nadto, że w pierwszym dniu rozpraw sądowych udowodni prawdziwość testamentu oraz słuszne pretensye swego klienta. Wszystko to zwiększało niezmiernie ogólną ciekawość.

W dniu, w którym się rozprawy na nowo rozpoczęły, była sala sądowa już od samego rana szczelnie zapełniona. Najbliżej stołu sędziów siedział Ralf Mainwaring z synem Hugonem i panem Whiteneyem, nieco dalej pani La Grange, a w najciemniejszym kącie, ukryty za filarem, stał Ryszard Hobson.

Kilka minut przed dziewiątą ukazał się pan Sutherland, w towarzystwie mężczyzny, którego imponująca postać ogólną wywołała uwagę. Mainwaringowie poznali w nim natychmiast najsławniejszego adwokata londyńskiego, którego udział w procesie tym wydawał im się wprost niemożliwym. Ale jeszcze większej niespodzianki mieli doznać. Tuż za adwokatem wszedł Harry Skott, którego ukazanie się wywarło na obecnych wrażenie piorunu. Mainwaringowie patrzeli na niego z bardzo rozmaitemi uczuciami — nie mogli sobie bowiem wytłumaczyć jego niespodziewanego przybycia i nie chcieli się niczego domyślać, gdyż i to im się niemożliwem zdawało......

— Na miłość Boską, sekretarz...... — szepnął Whiteney, — czy i on tu odgrywa jaką rolę?

— Jest on pewnie przekupionem narzędziem, za pomocą którego ma być urządzoną cała ta wstrętna komedya, — mruknął Ralf, pełen złości. — Nigdy nie ufałem temu człowiekowi, ale......

Tu umilkł, gdyż wzrok jego padł na jeszcze jednę osobę, która weszła teraz na salę i stanęła obok sekretarza.

Był to mężczyzna stary, lecz silny i czerstwy, wyprostowany, o białych jak śnieg włosach i przenikliwych, bystrych oczach, które z wyrazem szyderstwa i pogardy zwrócił na Ralfa Mainwaringa.

Ralf zacisnął zęby i przytłumił przekleństwo, jakie mu się na usta cisnęło, potem odwrócił głowę i patrzał na dwóch mężczyzn, wchodzących właśnie na salę. Jeden był niski, nie młody, drugi bardzo już stary, w którym na pierwszy rzut oka można było poznać angielskiego służącego, i w którym też Ralf poznał zaraz starego Jamsa Wilsona, ostatniego żyjącego jeszcze sługę ojca bankiera. Ralf nie wiedział teraz już, co o tem wszystkiem miał myśleć; oparł więc głowę na ręku, i ponury, milczący, z zaciśniętemi ustami czekał, co dalej nastąpi.

Ale i pani La Grange patrzała na wchodzących z oznakami niezmiernego wzruszenia. Usta jej skrzywiły się pogardliwie, gdy ujrzała sekretarza, lecz gdy zobaczyła starego, białowłosego mężczyznę, zadrżała przerażona. Przez chwilę wpatrywała się w niego jak w ducha, i niezdolna do odwrócenia głowy, spotkała jego spojrzenie, wyrażające najpierw zdumienie, potem pogardę i wstręt jawny.

Harold, czyli zawsze jeszcze dotąd sekretarz, udawał, że nie zwraca uwagi na ciekawość, z jaką śledzono każdy ruch jego, i zajął miejsce pomiędzy adwokatem Bartonem i onym starym mężczyzną. Zaraz za nim usiadł James Wilson, z twarzą tak obojętną, jak gdyby go cała ta sprawa nic nie obchodziła, i ten, który tu z nim przyszedł, mężczyzna w średnim wieku, o bystrych oczach i niezmiernie inteligentnym wyrazie twarzy.

Mężczyzna ten był tu widocznie po raz pierwszy, oglądał się bowiem uważnie na wszystkie strony i przy tej sposobności spostrzegł schyloną postać Hobsona, starającego się ukryć przed jego wzrokiem. Zaledwie ujrzał osławionego adwokata pokątnego, napisał szybko kilka słów na kartce i podał ją Sutherlandowi, który wyjąwszy z pugilaresu jakiś formularz, wypełnił go i wręczył jednemu z sług sądowych. Zaraz potem zbliżyło się nieznacznie dwóch urzędników do Hobsona i stanęło przy nim, lecz tak, że on niczego się nie domyślał.

Z uderzeniem dziewiątej weszli sędziowie i prokurator. Wśród głębokiej ciszy podał przewodniczący krótkie wyjaśnienie całej sprawy i oddał słowo panu Sutherlandowi, na wyraźną jego prośbę.

— Zanim zaczniemy rozprawy, — odezwał się adwokat wstając, — proszę o przyprowadzenie obecnego tu pana Ryszarda Hobsona alias Diska Carrola jako świadka.

Zaledwie Hobson usłyszał słowo „alias" poprzedzające nazwisko, o którem sądził, że w Ameryce zupełnie jest nieznanem, obejrzał się natychmiast za drogą do ucieczki. Gdy ujrzał stojących w bliskości urzędników, cofnął się mimowoli, lecz zaraz potem, rzucił się, torując sobie gwałtem przejście, do okna, i już zabierał się do skoku, gdy w tejże chwili uczuł się pochwyconym czterema jak żelazo silnemi ramionami. Widząc, że wszelki opór jest daremnym, dał się zaprowadzić ku ławce świadków i zajął miejsce — na pozór spokojny i bezczelny jak zawsze. Lecz w duszy drżał z strachu i wściekłości.

Przez chwilę były oczy wszystkich skierowane na niego, nikt jednak nie patrzał na łotra tego z takiem zajęciem, jak stary James Wilson. Hobson musiał to odczuwać mimowoli, bo podczas kiedy spojrzenia jego błąkały się po całej sali, zatrzymały się nagle na twarzy starego sługi i nie odwróciły się dopóty, dopóki nie poznał dawniejszego kamerdynera Mainwaringów i nie pojął znaczenia jego obecności tutaj!

Niepokój, jaki wypadek ten wywołał, ustąpił teraz miejsca śmiertelnej ciszy, gdy przewodniczący oznajmił, że zamierza przeczytać znaleziony, drugi testament. Wolno i ostrożnie rozłożył zżółkły, tu i owdzie podarty dokument i zaczął uroczyście:

> „W imię Boga, amen. Ku ogólnej wiadomości, że ja, Ralf Maxwell Mainwaring, leżący na łożu śmiertelnem i przygotowany na sąd Boży, mam zupełną przytomność umysłu i w testamencie tym oświadczam wyraźnie, że żaden inny testament, kiedykolwiek bądź spisany, nie ma wartości, i że odwołuję wszystko, co w pierwszym moim testamencie postanowiłem!"

Potem następowały pojedyncze rozporządzenia, na mocy których przechodziły wszystkie prawa i tytuły, należne podług praw angielskich najstarszemu synowi, na syna jego Harolda Skotta Mainwaringa. Harold miał więc otrzymać cały majątek, tak posiadłości ziemskie jak i gotówkę, i zobowiązać się do oddania wszystkiego kiedyś albo swemu synowi, albo w razie bezdzietności swemu bratu Hugonowi lub dzieciom jego. Dopiero wtenczas miało przejść wszystko na poboczną linią Mainwaringów, jeżeliby Hugon dzieci nie miał, pod żadnym jednak warunkiem nie wolno było dać najmniejszej cząstki majątku żonie Harolda, chociażby nawet przeżyła męża.

Podczas czytania testamentu zmieniała się nieustannie twarz Hobsona. Przez tyle lat uważał testament ten za zniszczony, a teraz słyszał te same słowa, jakie mu owej nocy dyktował umierający. Zdawało mu się, że głos z grobu przemawia do niego, a będąc z natury niezmiernie bojaźliwym i przesądnym, zdołał ledwie panować nad swem przerażeniem. Przewodniczący zaś kończył czytanie testamentu słowami:

„Spisanie tej ostatniej woli i własnoręczny podpis stwierdzają i uznawają świadkowie: Aleksander Buttler, Ryszard Hobson......“

Hobson uczuł zawrot w głowie, a gdy ujrzał teraz jeszcze sekretarza, wpatrującego się w niego swemi ciemnemi, płomiennemi oczami, wtedy zupełnie stracił przytomność. Lecz równocześnie błysnęła mu jakaś myśl dziwna — niemożliwa.

— To twarz umierającego!

I nagle oprzytomniał. Zaklął straszliwie, zacisnął pięści i szepnął ochrypłym głosem:

— Jaki głupiec ze mnie, że dawniej tego nie zauważyłem! Ta kobieta skłamała! To szatan wcielony!

Walka zaczyna się.

Pierwszym świadkiem, którego wywołano, był James Wilson.

— Panie Wilson — zaczął przewodniczący po kilku zwykłych pytaniach — byłeś podobno długie lata u pana Mainwaringa, tego, który napisał ten testament. Jest to prawda?

— Tak.

— Jak długo byłeś pan u niego?

— Służyłem mu jako kamerdyner od dwudziestego piątego roku jego życia aż do śmierci. Więc przeszło trzydzieści pięć lat.

— Słuchając obecnie czytania testamentu, nie przypomniałeś pan sobie może czego, o czem już dawniej słyszałeś?

— O tak, minęło już wprawdzie dwadzieścia i sześć lat, ale dziś jeszcze przypominam sobie zupełnie dokładnie ową noc siedemnastego listopada, w której umarł mój pan. Byłem w pokoju, gdy dyktował testament adwokatowi. Adwokat musiał wszystko raz jeszcze przeczytać, zanim panowie podpisali dokument.

— Kto go podpisał?

James Wilson wskazał na Hobsona.

— Ten człowiek. Ryszard Hobson.

— Poznajesz go pan dokładnie?

— Jak najdokładniej — odrzekł Wilson stanowczo. Jak kto raz kogoś podobnego widzi, to nie zapomina go tak prędko.

— Był on adwokatem pana Mainwaringa?

Wilson uśmiechnął się pogardliwie.

— O nie! Adwokatem jego był wielce szanowny pan Alfred Barton, ojciec tego pana — dodał, zwracając się do młodego adwokata. — Obecny tu Ryszard Hobson był wówczas pisarkiem w biurze starego pana Bartona i został wezwanym tylko dla tego, że kogo innego nie było można znaleść. Szefa jego nie było w domu, a umierający niecierpliwił się i chciał jaknajprędzej testament spisać.

— Wiadomo panu, czy ktoś namówił pana Mainwaringa do odwołania pierwszego testamentu?

— Gdyby tak było, musiałbym o tem wiedzieć. Nie, nikt go do tego nie namawiał, tylko sumienie nie dawało mu spokoju. Przez dwa albo trzy lata gniewał się bardzo na młodego pana Harolda, ale potem dręczył się tem, że go wydziedziczył. Zgadywałem to naturalnie, lecz nie mówiłem ani słowa, bo nikomu nie było wolno wymawiać imienia pana Harolda w jego obecności. Ale pomimo to kochał go — i my kochaliśmy go także. A gdy czuł, że śmierć się zbliża, wtedy uczuł wyrzuty sumienia i postanowił zmienić testament. Pan Hugon starał go się uspokoić i mówił nam, że ojciec majaczy, że w gorączce woła, aby sprowadzić adwokata, ale nic mu to nie pomogło — mój pan stawał się coraz niecierpliwszym, trzeba było posłać po pana Bartona, a gdy powóz wrócił próżny, musiał stangret jechać raz jeszcze i wtedy przywiózł Hobsona. Teraz musiałem podnieść mego pana i podsunąć mu poduszki tak, że prawie siedział w łóżku, a gdy wszystko było w porządku, spojrzał przenikliwie na Hobsona i zaczął mu dyktować testament. Pan Hugon kazał mi wyjść z pokoju, lecz mój pan dał mi znak, abym został, usunąłem się więc niepostrzeżenie za kotary i słyszałem wyraźnie każde słowo!

— Kto jeszcze był w pokoju?

— Tylko przyjaciel mego pana, pan Aleksander Buttler.

— A lekarz?

— Lekarza nie było, to jest — byli lekarze poprzednio, ale nie w tej właśnie chwili.

— Kiedy umarł pan Mainwaring?

— Tego samego dnia, o piątej. Po napisaniu testamentu zmienił się zupełnie i usnął cicho i spokojnie, aby się już nigdy nie obudzić.

— Co się stało z testamentem?

— Hobson zabrał go z sobą.

— Dowiedziałeś pan się może później, gdzie go złożył?

— Nie.

— Zbliż się pan — mówił przewodniczący dalej, podając Wilsonowi dokument — i obejrzyj dobrze podpisy. Możesz przysiądz, że to są własnoręczne podpisy pana Mainwaringa i dwóch świadków?

Wilson spojrzał na pismo i rzekł stanowczo:

— Tak mogę przysiądz, że to jest podpis pana Mainwaringa, pomimo, że ręka drżała mu bardzo. Tak samo poznaję podpis pana Buttlera, nawet plama przy nazwisku jest mi znaną, bo pan Buttler gniewał się, że mu pióro prysnęło. Podpisu Hobsona natomiast nie znam, bo nigdy go nie widziałem, ale jeżeli on testament pisał, to też pismo musi być to samo.

— Więc jesteś pan gotów przysiądz, że to jest ten sam testament, który został owej nocy ułożonym?

— Jestem gotów!

—Wspominałeś pan komu o tym testamencie?

— Tylko memu synowi. Nie śmiałem zapytać pana Hugona o jego brata, a gdy po śmierci mego pana straciłem miejsce, dano mi mieszkanie w miejscu i tak zostałem tam, spodziewając się nieustannie powrotu pana Harolda Bo myślałem, że uwiadomiono go o zmianie testamentu. ale gdy później przyszła wiadomość o śmierci jego na morzu, wtedy postanowiłem milczeć o testamencie, bo kogo to miało interesować? I opowiedziałem dopiero o wszystkiem paniczowi, gdy przybył niespodziewanie do mnie.

Przesłuchanie Wilsona było skończone — przewodniczący wezwał teraz Hobsona.

— Spisałeś pan w nocy, siedemnastego listopada r. 18... testament pana Mainwaringa?

Hobson udawał, że musi się dopiero namyśleć.

— Zdaje mi się — rzekł — że było tam coś takiego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PRACA
Tygodnik illustrowany

Z dziejów upadku Prus.*)

(Wspomnienie historyczne).

IX.

Traktak w Tylży i utworzenie Księstwa Warszawskiego.

Armia francuska doszła po Niemen i stanęła nad granicą rosyjską. — Całe królestwo pruskie prócz miasta Kłajpedy **) i jego obrębu, znajdowało się w mocy Napoleona.—Rosyanie żądali zawieszenia broni, na które też Napoleon dnia 21-go czerwca 1807 roku zezwolił. Przyczem postanowiono, że oba cesarze w jak najkrótszym czasie wyznaczą pełnomocników do ułożenia i zawarcia ostatecznego pokoju. Zaraz potem cesarz Aleksander oświadczył życzenie osobistego widzenia się z cesarzem Napoleonem, w celu przyspieszenia układów. To widzenie się nastąpiło dnia 25-go czerwca w bogatym namiocie, rozbitym na wielkiej wśród Niemna przymocowanej tratwie. Obok tej była druga dla świty cesarzów. O pierwszej godzinie popołudniu obaj monarchowie wysiedli z łodzi i uścisnąwszy się wzajemnie, udali się do przygotowanego dla nich namiotu. — Po dwugodzinnej rozmowie, skoro każdy z monarchów na swój brzeg powrócił, książę Labanoff udał się do głównej kwatery francuskiej, gdzie ułożono, że połowa miasta Tylży ***) za neutralną uznaną będzie. Mieszkanie dla cesarza Aleksandra i jego dworu obrano, a cesarsko-rosyjska gwardya miała osadzić przeznaczoną sobie część miasta. Na drugi dzień, prawie o tymże czasie co dnia poprzedzającego, nastąpiło powtórne widzenie się monarchów, w którem tym razem i król pruski wziął udział. Koło wieczora cesarz Aleksander, przeniósłszy się na lewy brzeg Niemna, odbył wraz z Napoleonem wjazd do Tylży. Dnia 27-go czerwca przybył także do Tylży król pruski Fryderyk Wilhelm III, lecz przy wysiadaniu z czółna nie przez samego Napoleona jak cesarz Aleksander, ale tylko przez marszałka Bessieres przyjętym został.

I ten upokorzony król pruski, uległszy potędze Napoleona, zmuszony był znaczną część zagarniętych ziem polskich złożyć u stóp zwycięzcy, który utworzył z nich w Europie państewko pod berłem Fryderyka Augusta, potomka dawnych królów polskich z domu saskiego.

Tem państewkiem było Księstwo Warszawskie, powstałe na mocy traktatu, zawartego z Rosyą w Tylży w dniu 7-go lipca 1807 r., a w dwa dni później z Prusami.

Może nie każdemu wiadomo, iż w tym wielkim akcie politycznym naj-



Ucieczka królowej Ludwiki do Kłajpedy.

*) Patrz artykuły zamieszczone pod powyższym tytułem w numerach: 41, 42, 44, 48, i 50 r. z. oraz w numerach 5, 8 i 22 r. b.

**) Kłajpeda (Memel), miasto powiatowe w Prusach Wschodnich w obwodzie regencyjnym królewieckim.

***) Tylża (Tilsit), miasto powiatowe w Prusach Wschodnich w obwodzie regencyjnym gąbińskim.

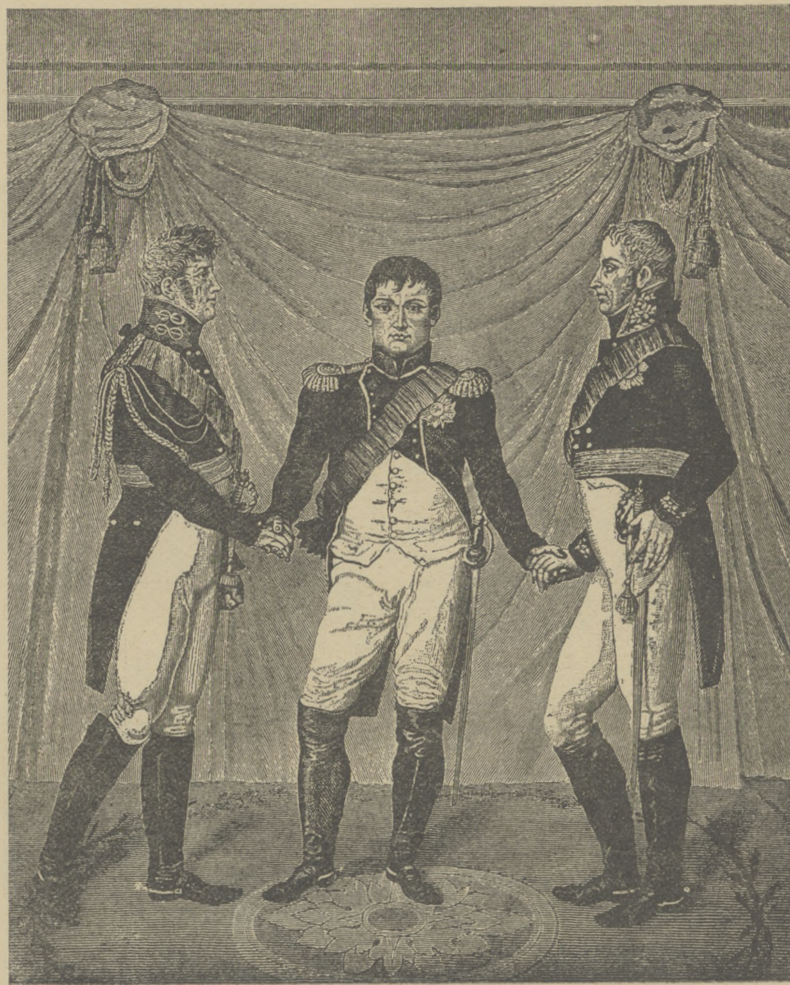
główniejszą rolę odegrała kobieta. Była nią słynna z piękności królowa Ludwika pruska, w której dumny zwycięzca namiętnie się rozkochał, a którą małżonek, Fryderyk Wilhelm III., umyślnie sprowadził do Tylży, ażeby za cenę jej wdzięków uchronić zdruzgotane państwo od zagłady. Ludwika przez kilka dni ucztowała z Napoleonem i niejedną z nim na uboczu spędziła chwilę, misyę więc swoją spełniła z powodzeniem.

W rozwinięciu traktatu tylżyckiego Napoleon w dniu 22-go lipca 1807 r. w Dreźnie nadał Księstwu ustawę konstytucyjną, która zapewniała Polakom zupełnie swobodny rozwój na tle narodowem, powołała do życia Izbę poselską ze szlachty, obieranej na sejmikach, i senat, złożony z biskupów, wojewodów i kasztelanów, a przedewszystkiem wskrzesiła dawne wojsko polskie z własną komendą i ojczystemi sztandarami.

Ustawa konstytucyjna wywołała żywe niezadowolenie w szerokich kołach, nie było w niej bowiem wzmianki o Polakach, ani o Polsce, z której przecie cząstki Księstwo powstało. Spodziewano się wiele, może nawet za dużo, ale Napoleon na razie, wobec postawy dwóch silnie zainteresowanych państw w sprawie odbudowania dawnej Rzeczypospolitej, Rosyi i Austryi, nie mógł więcej uczynić bez narażenia się z temi mocarstwami na długą i uciążliwą, a zawsze w skutkach wątpliwą wojnę. Obdarzenie Polaków niemal zupełną samodzielnością w kierunku administracyjnym i wojskowym ocuciło ich ze stanu odrętwienia politycznego i dało im możność rozwijania ducha narodowego w sąsiednich prowincyach polskich, pozostających pod berłem rosyjskiem i austryackiem, które, przy zbiegu przyjaznych okoliczności, w każdej chwili mogły być przyłączone do świeżo powstałego państewka, jak to się zdarzyło po wojnie z Austryą w roku 1809, gdy kilka cyrkułów galicyjskich wcielono do Księstwa.

Wojsko Księstwa Warszawskiego, pod wodzą dzielnych generałów, szeroko poza granicami kraju głosiło sławę oręża polskiego, a pomnikowy atak 125-ciu ułanów pod wodzą Kozietulskiego na wąwozy Sommo-Sierra, wywołał zdumienie w kołach wojskowych i po dziś jeszcze stanowi prawdziwą zagadkę dla wielu strategików, którzy poświęcają mu specyalne monografie, oddając zasłużony hołd nieustraszonej odwadze żołnierza polskiego.

Księstwo wiele zrobiło dla przyszłości Polski. Gdyby nie Księstwo, imię Polski możeby dalej spoczywało w grobie, wykopanym rękoma Targowicy. Z tego małego państewka, po upadku jego twórcy, powstało Królestwo Polskie, które pomimo strasznych przejść i ciernistej drogi, nieprzerwanie przechowuje w swem łonie ogień miłości narodowej i nigdy mu zgasnąć nie pozwoli.



Zjazd monarchów w Tylży.
(Patrz artykuł p. t. „Z dziejów upadku Prus").

Trzej trybunowie ludu.

Trzy partye, trzy organizacye ludowe, są czynne na widowni życia politycznego w Galicyi: stronnictwo centrum ludowego, stronnictwo ludowe i demokracya socyalna. Probierzem sił, jakiemi każda z tych grup rozporządza, były świeżo dokonane pierwsze w Austryi wybory, odbyte na zasadzie powszechnego głosowania.

I.

Ks. Stanisław Stojałowski, redaktor „Wieńca" i „Pszczółki", prałat Jego Świętobliwości, twórca i głowa stronnictwa, zwanego popularnie partyą „stojałowczyków", — czytamy w warszawskim „Świecie", — jest już dziś poniekąd historyczną postacią. Uwielbiana przez jednych, znienawidzona, szarpana i oplwana przez innych postać ta, skrojona na miarę niecodzienną, rzuca potężny cień na cały niemal okres autonomicznego życia Galicyi.

Trzydzieści kilka lat ubiegło od chwili, gdy młody, wichrowaty wikaryusz jednego z lwowskich kościołów rzucił się do szerzenia po wsiach „oświaty politycznej" i organizowania włościan do walki o prawo. Były to czasy niepodobne do naszych. Dogmatem było, iż położenie chłopa prawne, kulturalne i gospodarcze należy ulepszać za pomocą akcyi, idącej z góry, od klas bogatszych i oświeceńszych. Ks. Stojałowski pierwszy uczynił w tej zasadzie wyłom: postanowił przetworzyć lud w element czynny, któryby sam wpływał na zmianę swego losu. Nowatorstwo to uznano za herezyę. Odtąd dla młodego księdza rozpoczęły się długie i twarde lata walki, toczonej wśród niesłychanego rozgoryczenia stron obu, walki, w której całej potędze, całemu znakomicie uzbrojonemu aparatowi warstwy rządzącej, przeciwstawiła się jednostka, fanatycznie przywiązana do raz powziętej idei, a coraz silniejsza rosnącym kręgiem wpływu na masy ludowe. W walce tej ujawnił Stojałowski niepospolite zdol-

ności agitacyjne, którym nikt do tej pory, lub niewielu tylko, zdołało w Galicyi dorównać. Urodzony mówca ludowy, przenikający na wylot wszystkie kryjówki duszy chłopskiej, grał jak



Ks. Stanisław Stojałowski.

mistrz na jej strunach. Nieposkromiony temperament uwikłał go w szereg zatargów, których następstwem były głośne swojego czasu klątwy kościelne, wielokrotne więzienie i wreszcie ucieczka z kraju.



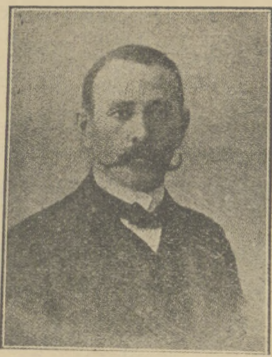
Marcel Baciarelli.

Napoleon nadaje konstytucyę Księstwu Warszawskiemu.

Napoleon podaje ustawę St. Małachowskiemu, prezesowi komisyi rządzącej. Poza cesarzem stoją ministrowie Talleyrand i Maret, z prawej strony S. hr. Potocki i J. Wybicki, z lewej strony L. Gutakowski, Ksawery Działyński, P. Bieliński, W. Sobolewski i J. P. Łuszczewski.

(Patrz artykuł p. t. „Z dziejów upadku Prus“).

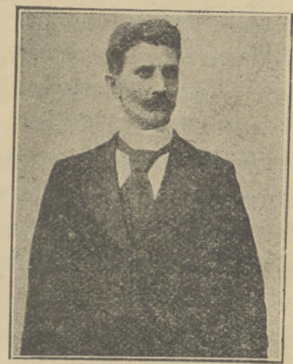
Życie przekonało, że zasadniczy motyw polityki Stojałowskiego nie był herezyą. Wiele zapatrywań, których prałat-redaktor bronił przez szereg lat z uporem i zaciętością, doczekało się ogólnego uznania. Nikt nie atakuje ich więcej. Przy Stojałowskim stoi wpływowa w zachodnich powiatach Galicyi partya chrześciańsko-ludowa, która dostarcza Kołu Polskiemu w Wiedniu szeregu mandatów. Przywódca jej posunął się w ostatnich latach na prawo. Lecz naodwrót: na lewo przesu-



Jan Stapiński.

nęły się koła, kierujące krajem w swoich zapatrywaniach na ruch ludowy, z których niejedno uległo rewizyi i bezpowrotnemu skreśleniu. Postulaty dzisiejsze „Stojałowczyka“, po zdobyciu powszechnego głosowania, streszczają się w żądaniu rozszerzenia autonomii kraju i reformy administracyi w duchu autonomicznym, oraz w żądaniu wydatnych reform na polu ustawodawstwa socyalnego. Partya uznaje potrzebę i możliwość harmonii klas. Wraz z dwiema innemi pokrewnemi grupami tworzy od roku stronnictwo, a raczej związek „polskiego centrum ludowego“, który wprowadził do parlamentu i do Koła Polskiego 13 posłów.

Ks. Stojałowski, wchodzący po raz



Ignacy Daszyński.

drugi na widownię parlamentarną, jest najwybitniejszą indywidualnością polityczną wśród swoich towarzyszy partyjnych.

Stary *tribunus populi* postacią swoją przypomina raczej wiejskiego proboszcza, niż burzliwego agitatora, który wrzawą napełniał Galicyę przez lat 30. Sześć krzyżyków pochyliło go nieco ku ziemi. Ruchy ma ociężałe i, rzekłbyś, znużone nadmiarem przebytych przejść. Wolnym, szeroko brzmiącym głosem wyrzuca wyrazy. Nikt nie domyśliłby się, że człowiek ten dziś jeszcze, jak mało kto drugi, umie płomienie zapalać w masach. Ubogi jest jego wygląd i ubogą czasowa siedziba krakowska, w której składam mu odwiedziny. Wytarta sutanna księdza prałata musiała służyć mu nie w jednej przygodzie. Całe umeblowanie jedynego pokoju, jaki zajmuje, stanowi tanie biurko, parę półek, zarzuconych papierami, trochę prymitywnych krzeseł i łóżko. Dla wygody i komfortu — nic zgoła.

Pragnąłbym usłyszeć z ust ks. Stojałowskiego jakąś syntezę wieloletnich doświadczeń, chciałbym z tego źródła, bardziej od wielu innych powołanego, otrzymać obraz ogólnego postępu, jaki uczynił chłop polski w Galicyi w ciągu minionego okresu dziejowego, od chwili swego przebudzenia politycznego do dziś, do momentu, w którym nowa ustawa wyborcza powołała go w całej masie do udziału w rządach.

— Pamiętam — odpowiada ks. St. — jaką była wieś polska jeszcze przed 50 laty, za rządów niemieckich. Chodziłem, chłopcem będąc, często po wiejskich chałupach, widziałem, jak chłop żył, co jadł, jak mieszkał, jak pracował i jak się bawił. Chałupy były dymne i ciemne, ubiór — płótnianka i kożuch, pokarm — chleb i ziemniaki z kapustą. Książki i gazety nie mo-

żna było spotkać nigdzie, tem mniej szkoły, kółka rolniczego lub sklepu. Wozy i pługi nieokute, narzędzia w najgorszym gatunku. Chłop był ciemny i zaniedbany, mało co różnił się od bydlęcia, zwłaszcza, gdy podpił sobie w karczmie. Dziś? Policzmy nie to, czego jeszcze brakuje, lecz co się zrobiło. Oto tysiące szkół, drogi we wszystkich kierunkach, szpitale, kółka rolnicze, sklepiki wiejskie, domy często już kryte dachówką, podobne nieraz do małych dworków. Cóż dopiero, gdy się wejdzie do chaty, albo na zgromadzenie. To lud jakby nie ten, który poznałem za młodu. W chacie książki, gazety, zegary, tu i ówdzie porządne meble, w stodole pługi żelazne, młockarnie, sieczkarnie. Nawet te narzekania, które się słyszy, to dowód wzrostu oświaty i cywilizacyi. Dawniej nie narzekał chłop, bo nie miał pojęcia, że może być lepiej. Klął tylko po cichu. Dziś rozumie, że upominając się, może zdobyć coraz lepsze warunki życia... I oryentuje się w sprawach publicznych, o których za mojej młodości nie miał żadnego wyobrażenia, które nie obchodziły go zgoła. Ten tłumny udział w ostatnich wyborach, to jawny dowód wzrostu jego uświadomienia.

Czy przecież dorósł istotnie do reformy tak radykalnej, jak głosowanie powszechne? Czy reforma ta nie przyszła dla nas za wcześnie?

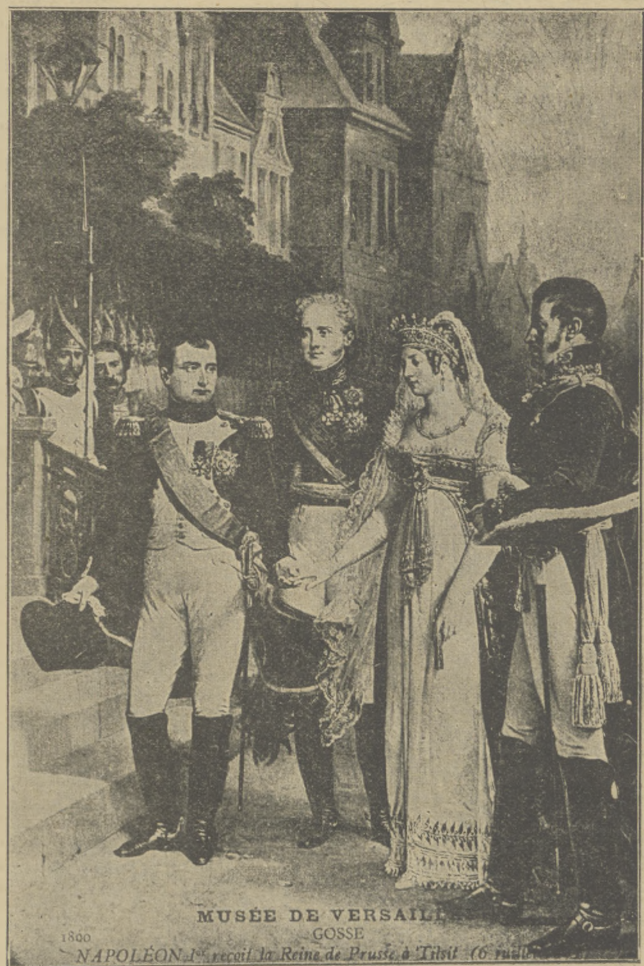
— Nie, nie, — protestuje ks. Stojałowski — powszechne głosowanie nie potwierdziło wcale tych obaw, jakie z niem z pewnej strony łączono. Jeżeli wybory nie wypadły dla Koła Polskiego lepiej, to jedynie dla tego, że wśród kandydatów stronnictw narodowych nie było dość ludzi popularnych. Gdyby dawni posłowie byli trochę więcej stykali się z ludem, z pewnością o wiele więcej byłoby ich wyszło przy wyborach i dawne Koło nie zostałoby tak przerzedzone.

— A nowe? O ile zmieni się jego polityka? Kto stanie na czele?

— Nie myślę, żeby główne zasady polityki nowego Koła miały uledz zmianie. Nie mogą się zmienić pod względem narodowym, gdyż polityce narodowej dawnego Koła nic nie można zarzucić. Także na polu ekonomicznem robiło Koło co mogło. Odpadnie chyba ten zbytek lojalności, jaki był, to przesadne mniemanie o konieczności utrzymania Austryi w naszym jakoby interesie narodowym... A kto stanie na czele? Niewątpliwie jeden z dwóch polityków, którzy w dawnem Kole grali rolę przodującą: Abrahamowicz, albo Bobrzyński.

II.

Drugi przywódca chłopów polskich w Galicyi, p. Jan Stapiński, redaktor „Przyjaciela Ludu'', poseł na sejm i do rady państwa, jest najwybitniejszą siłą czynną w stronnictwie ludowem. Partya jego stoi od początku na ostro zaznaczonem stanowisku klasowo-chłopskiem i od początku, od zawiązania się w roku 1889, znajduje się w opozycyi do kół rządzących krajem. Stapiński, syn włościanina, związany do dziś licznymi węzłami z warstwą, z w sile wieku, raczej młodym jeszcze. Kultura wielkomiejska zostawiła na nim ślady powierzchowne. Zrównoważyły ją lata całe, spędzone na agitacyi po wsiach, wśród trudów i niewygód, wśród ustawicznego kontaktu z chałupą włościańską i w głębi swej istoty, równie zresztą, jak w twardych i prostych manierach, pozostał Stapiński rdzennym chłopem polskim, z wszystkiemi jego typowemi właściwościami. Z siwych oczu strzela pewność siebie, w głosie szorstkim i donośnym, przywykłym rozbrzmiewać pod gołem niebem, wśród rzesz tysięcznych drga energia. Do parlamentu, do którego już raz na-



Napoleon przyjmuje w Tylży królową pruską Ludwikę.

której wyszedł, jest podobnie, jak ks. Stojałowski, arcytypem chłopskiego agitatora, albo raczej jedynym obok niego w Galicyi agitatorem w wielkim stylu. Wola jest czynnikiem dominującym w jego organiazcyi psychicznej i wyciska piętno na całej tej skomplikowanej, lecz ciekawej indywidualności. Cechuje ją cierpliwość, wytrwałość i zaciętość, obok wybuchowego, często nieokiełznanego temperamentu. Tych właściwości swej natury, równie, jak włościańskiego swego pochodzenia które otworzyło przed nim wrota chat wiejskich, użył Stapiński dla utworzenia i zorganizowania najsilniejszej dziś partyi ludowej w Galicyi.

Wódz „ludowców'' jest mężczyzną leżał, wraca jako zwycięzca, prowadząc za sobą szesnastu posłów chłopskich.

Zastaję posła Stapińskiego, znużonego przebytą kampanią wyborczą, przy małem biurku, zasypanem stosami papierów.

Waży się w tej chwili sprawa doniosła dla polityki polskiej w Austryi: czy nowowybrani posłowie ludowi w liczbie 17 wstąpią do Koła Polskiego, czy zostaną, jako osobny klub parlamentarny, po za obrębem tej organizacyi? Dotąd ludowcy zwalczali Koło i gdy stanowili drobną zupełnie grupkę, chodzili w Wiedniu luzem. Jak będzie nadal? Poseł Stapiński ogłosił w „Przyjacielu Ludu'' oświadczenie, że zdecydują o tem nie posłowie, lecz naj-

wyższa instancya stronnictwa: kongres partyjny, a ten odbędzie się nie rychlej, niż w jesieni.

Dlaczego tak późno?... Dlaczego nie zaraz?

— Jestem mocno przekonany — odpowiada p. Stapiński — że gdyby kongres odbył się teraz, to myśl złączenia się z Kołem zostałaby z miejsca pogrzebana. Lud rozgoryczony na Koło Polskie, zbyt długo trwał w tem rozgoryczeniu, aby mógł w tej chwili powziąć inną decyzyę. Gdybyśmy zaś chcieli obejść wolę ludu, gdybyśmy, bez wyraźnej aprobaty stronnictwa, wstąpili do Koła, jestem pewny, że nastąpiłoby w naszym obozie rozbicie, utworzyłaby się nowa partya i powstałoby jeszcze większe rozdarcie społeczeństwa. Nie jestem dyktatorem. Lud jest zorganizowany w ten sposób, że jest zdolny do samodzielnych obrotów i nie da się wodzić na pasku.

— Ale wszak obecnie Koło Polskie, to już nie to samo, co było. Wszak weszło do niego tylu demokratów, że większości konserwatywnej w niem nie ma i niejedno się też wobec tego zmieni w jego polityce.

P. Stapińskiego nie zdaje się ten argument przekonywać. W rządy demokratyczne nie bardzo wierzy, a zresztą... I tu następuje charakterystyczne wyznanie:

— My nie możemy przeceniać korzyści z demokracyi mieszczańskiej. Trzeba pamiętać, że my jesteśmy rolnikami i kto wie, czy z konserwatystami, ze szlachtą, nie łączy nas więcej wspólnych interesów. Tylko to jej uporczywe trzymanie się wszechwładzy rozdziela nas.

— Więc jakież widoki ma sprawa wstąpienia panów do Koła?

— Zyskując na czasie do jesieni, będziemy się starali przekonać lud, że obecność nasza w Kole mogłaby mieć i dobre strony. Sprawa musi przejść przez szereg faz, musi być roztrząsana w organizacyach gminnych, okręgowych, wreszcie przyjść na kongres. Ale tymczasem muszą nastąpić zmiany w kraju, lud musi otrzymać jakieś zadośćuczynienie za szykany i krzywdy, jakich doznawał za swe przekonania, musi sam odczuć, że się coś polepszyło w stosunkach publicznych.

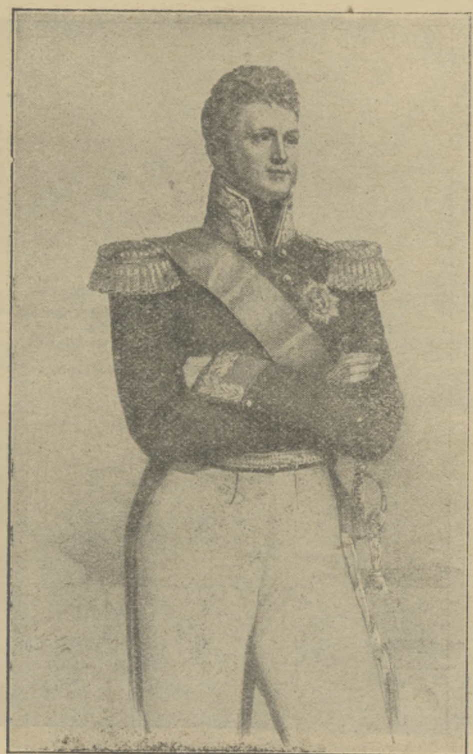
— A pan osobiście: czy jest pan za wstąpieniem do Koła?

— Jestem, i w tym duchu będę działał w stronnictwie. Rozszerzanie działania jest dla nas pożądane, gdyż do nas należy przyszłość: rządy kraju prędzej, czy później będą musiały przejść w ręce ludowców.

Wyrażeniem tej dumnej nadziei zakończył p. Stapiński swe wynurzenia.

III.

Typ zupełnie odmienny od dwóch poprzednich przedstawia „papież socyalizmu galicyjskiego" Ignacy Daszyński. Człowiek czynu i intelektyalista godzą się tu w jednej osobie. Długoletnia agitacya wśród robotników, którzy uwielbiają go i podziwiają niezliczone wystąpienia na trybunie, z której przemawiać trzeba było do tłumu, używając jaskrawego słowa i szerokiego giestu, nie starły z Daszyńskiego cech i manier, właściwych wyższej towarzyskiej kulturze. Z trudnością domyśliłby się kto na pierwszy rzut w tym pełnym ogłady dżentelmenie wolza proletaryatu i polityka, który znaczną część życia strawił na obcowaniu z najniższą warstwą społeczną. Dopiero bliższe natknięcie się pozwala spostrzedz w nim rysy, które świadczą, iż mamy przed sobą urodzonego trybuna ludu. Gdy mówi zwłaszcza — w stalowych oczach zapalają się płomienie, skupiona twarz ulega przeistoczeniu, głos poczyna grać niezwykłem bogactwem akcentów, wśród których nieświadomie, odruchowo przewija się lekki patos zgromadzeniowy. Jako mówca umie Daszyński nietylko przykuwać rzesze robotnicze, ale także zabłysnąć na wielkich kongresach i w ciele prawodawczem. W dawnym parlamencie należał do posłów najpilniej słuchanych, chociaż z ław polskich słuchano go najczęściej z goryczą.



Król pruski Fryderyk Wilhelm III.

Obecnie, jak wiadomo, padł przy wyborach. Co więcej: cała jego partya poniosła klęskę w Galicyi, zwłaszcza zachodniej. Istny pogrom socyalizmu polskiego wywołał zdumienie, nawet wśród przeciwników. Zwróciłem się do p. Daszyńskiego z prośbą o wyświetlenie przyczyn tego faktu — z jego stanowiska. Prośbie tej czyni p. Daszyński zadość. Rozmowa toczy się w domowym gabinecie byłego posła, urządzonym z pełną smaku prostotą.

— Stronnictwo rządzące w kraju — zaczyna p. D. — przystępując do wyborów, liczyło na zdobycie dla Koła Polskiego trzeciej części mandatów, przeznaczonych dla Rusinów a i wszystkich mandatów z miast, w których żydzi mają przewagę. Już w pierwszej fazie wyborów okazały się te nadzieje zawodnemi. Rusini z 28 swoich mandatów stracili zaledwie jeden, a także parę miast żydowskich poszło za syonistami. W pewnym momencie walki wyborczej — było to koło 30 maja — stronnictwo rządzące, które opierało się na większości dawnego Koła Polskiego, ujrzało się nad przepaścią: każdy nowy zyskany lub stracony mandat mógł zadecydować o jego bycie lub niebycie. Jak groźną była chwila, okazało się po wyborach. Na 106 mandatów galicyjskich zdobyło Koło 66. Ewentualna utrata trzech mandatów z tej liczby równałaby się wyelimowaniu Koła od wyborów do delegacyi wspólnych i odsunięciu od polityki wielkopaństwowej i dworskiej, w której Koło czerpało dotąd główny zasób swej siły. Obok tego była w grze rzecz jeszcze ważniejsza: groźba zmiany galicyjskiej ordynacyi wyborczej, którą Koło z takim trudem zdobyło w starym parlamencie. W obliczu tego niebezpieczeństwa, straciwszy pozycye swe na Rusi, postanowiło stronnictwo rządzące, wbrew dotychczasowym swoim tradycyom — przerzucić się na Galicyę zachodnią i tutaj poprawić swe szanse. Do wydarcia były tu mandaty, mające przypaść socyalistom. Puszczono w ruch wszystkie wypróbowane środki i zwyciężono nas.

— Nie było innych przyczyn? Wyklucza pan, iż ta przegrana pochodzi także z głębszych źródeł, że oznacza dekadencyę ruchu socyalistycznego?

— Nie sądzę, że odbędzie się w ruchu pewna przemiana teraz; to pewna. Robotnik jest rozgoryczony nietylko na rząd i przeciwników, ale i kierowników partyi za to, że do ostatniej chwili usiłowali utrzymać spokój. Przekonany jest, że gdyby się było nadużycia odpierało siłą, wynik byłby inny. I

gdyby przyszłe wybory miały się odbyć tym samym trybem, z pewnością należałoby oczekiwać ze strony ludu aktów terorystycznych. Nie tracimy przecież nadziei, że samo prawidłowe funkcyonowanie parlamentu, bądź co bądź demokratycznego, uniemożliwi na przyszłość podobne wybory.

— Czy sądzi pan, że i w Kole polskiem żywioły demokratyczne wezmą górę nad temi, które w dawnem odgrywały dominującą rolę?

— Do pewnego stopnia tak. Szlachta, żywioł najbardziej niezależny od opinii publicznej, najmniej się z nią liczący, została prawie zmieniona przez wybory. Ludzie, którzy przyszli na jej miejsce, którzy bądź co bądź ciężko walczyli o swe mandaty, będą musieli być wrażliwszymi na interesy szerokich warstw, które reprezentują. Że więc nowe Koło będzie bardziej podatne na to, co nazywamy popularnością, to nie ulega wątpliwości. Ale i to pewna, że położenie jego będzie z wielu przyczyn daleko trudniejsze, niż innych klubów. Co do nas, nie myślimy się zrzec prawa najsurowszej krytyki. Jesteśmy dalecy od przyjemności pastwienia się Polaków nad Polakami w parlamencie, lecz nie możemy milczeć. Uważamy za największe zło podkopywanie w samym narodzie poszanowania pozytywnego prawa.

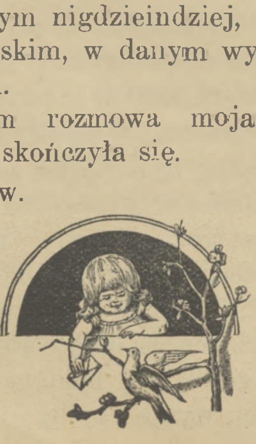
Według krążących pogłosek zwyciężony trybun krakowski ma przecież wrócić do parlamentu. Mówią, iż niemiecka socyalna demokracya zamierza odstąpić mu jeden z swoich mandatów w Austryi lub Styryi.

Na zapytanie moje w tym kierunku odpowiada p. Daszyński:

— Mój powrót nie jest wykluczony, ale też nie jest jeszcze pewny. Dotąd ja sam nie jestem zdecydowany, czy wstąpić znowu na drogę dotychczasowego mego działania, czy też wziąć wyłączny udział w pracy w kraju, którą uważam za zupełnie równorzędną i równie ważną jak pracę parlamentarną. W każdym razie odsyłanie mnie do Gracu czy pod Wiedeń uważam za szyderstwo moich przeciwników, którzy wiedzą dobrze, że nie kandydowałbym nigdzieindziej, jak w okręgu polskim, w danym wypadku — na Śląsku.

Na tem rozmowa moja z p. Daszyńskim skończyła się.

Kraków. *Clarus.*





Spotkanie się Napoleona z Aleksandrem I w roku 1807 na Niemnie.
(Patrz artykuł p. t. „Z dziejów upadku Prus").

Do ducha mego.

Nieznany wiersz, z teki pośmiertnej.

Duchu mój, wzmóż się! W wielkie Imię Boże!
Przez twej Ojczyzny sprawę i cierpienia,
Przez twoje święte tutaj przeznaczenia,
Przez sprawę twego wiecznego zbawienia,
Wzmóż się mój duchu! Bóg ci dopomoże!

Twoja bezwładność trwa już nazbyt długo,
Że nazbyt długo zły duch cię krępuje,
Patrz tam! na niego, jak się on raduje,
On pewny, że już z ciebie tryumfuje.
A Bóg twym Panem, czuwa nad swym sługą.

Zaufaj jemu, udaj się do Niego,
Wszakżeś z Nim nigdy nie zerwał, z twym Panem,
Uderz o ziemię pokornem kolanem,
Zawołaj w niebo sercem zapłakanem
Bóg ci dłoń poda, wyrwie z sieci złego.

Czas już, byś wrócił do swej dawnej mocy,
Wszystko cię wzywa, wszystko ciebie błaga —
I ta Ojczyzna, którą piekło smaga,
I twoja słabość, co się coraz wzmaga,
Ten Bóg nakoniec, gotów ku pomocy.

Ożyj, mój duchu, przeszłem życiem błogiem,
Unieś się duchu dawnem uniesieniem,
Rozgorzej znowu twym dawnym płomieniem,
Rzuć się ku Bogu starem poświęceniem.
Znajdziesz go znowu, nie przestał być Bogiem.

Stań mocno w wierze, z nadzieją się ożeń,
Zwierz się miłości, niebios powiernicy,
A ten człowieka Anioł - Stróż trójlicy
Zerwie twe pęta, wywiedzie z ciemnicy,
Bóg mocen wyrwać z najgorszych położeń.

Odrzuć bezsilność, jak straszną bezbożność.
Wszelkim upadkiem człowieka upadnij,
Ale się w grubszą bezczynność nie kładnij,
Wszelki grzech inny Bóg przebaczy snadniej,
Nigdy krzyż Jego nie jest nad twą możność.

Rzuć się co żywo w pokorne błaganie.
Nie wyczerpałeś jeszcze w zdroju owym,
Jeszcześ nie spotniał potem Ogrójcowym,
Jeszcześ nie omdlał mdleniem Chrystusowem,
Omdlej, jak Chrystus, a twa moc powstanie!

Paryż, 1855.

Seweryn Goszczyński.

Z wędrówki po Królestwie Polskiem.

(Dokończenie).

13)

XI.

Powiat łżecko-opatowski.

Za Iwaniskami krojobraz się zmienia. Przed nami roztacza się czarny szmat lasu, jakby namalowany ręką artysty. Wjeżdżamy w las prześliczny, należący do dziedzica Planty. W ogóle okolica opatowska niebogata jest w lasy, to też ten, przez który przejeżdżam, można zaliczyć do największych i najpiękniejszych. Niedawno zaprowadzono tu gospodarstwo leśne; chciwa ręka handlowa nie oszpeci tej miejscowości i nie wydrze bogactwa i ozdoby, która jest nietylko własnością jednostki, ale i kraju całego...

W niewielkiej odległości od Iwanisk znajdują się ruiny zamku w Ujeździe. Historya zamku tego nie budzi miłych wspomnień. Wzniosła go duma, samochwalstwo i próżność. Świadczą o tem nieźle zachowane portrety przodków założyciela, umieszczone na zewnętrznych murach, między oknami; pod każdym portretem opisaną jest dokładnie godność, stopień pokrewieństwa, a wszystko to w szumnych panegirykach.

Mimo ruiny, zniszczenia, od deszczu i mrozu, wiele z tych napisów, można odczytać. Jeden z nich głosi: „Ojczyźnie mej polskiej, województwu sandomierskiemu, braci najmilszej, Krzysztof z Tenczyna Ossoliński, wojewoda sandom., ukończył w r. 1644.“

Do zamku prowadzi droga po wysokiej i spadzistej górze, ze szczytu jej oczom przedstawia się widok przeliczny.

Po lewej stronie drogi ciągną się niewielkie poprzerywane lasy, u stóp góry i lasów, rozciąga się pokryta kępami krzewów, długa dolina, z boku której samym jej brzegiem wije się z kilkowiekowych lip aleja i dobiega do wspaniałego parku i ogrodu, z których prześwitują białe zręby i czerwone dachy zabudowań folwarcznych i dworu w Ujeździe, własność p. Orsettiego. Po prawej stronie folwarku, na wyniosłej górze, sterczą ruiny starego warownego niegdyś pałacu, stopy zaś góry, na którym stoi zamek, obmywa bystra rzeczułka. Cały ten w ciasnych ramach zamknięty krajobraz jest tak wdzięczny, tak malowniczy, że doprasza się, aby go zdolna ręka artysty żywcem przeniosła na płótno.

Ożywiają go małe chaty i zabudowania gospodarcze, przytulone do wysokich starych murów zamkowych, tonące w zieleni ogródków.

Zamek cały otoczony był wałem, którego są i dziś jeszcze ślady, oraz murem wysokim na kilka pięter. W około zamku biegła fosa, którą w razie niebezpieczeństwa napełniano wodą, z blizko płynącej rzeczki.

Do wnętrza zamku prowadzi ogromna brama, której szczątki i dziś jeszcze z ciosowego kamienia istnieją. Dalej, przez wał do głównego wejścia przerzucony jest most sklepiony z kamienia, dziś z jednej strony przerwany i zawalony, wprost zaś mostu wznosi się wysoka baszta, i mężnie stawia czoło burzom i wandalizmowi ludzi. W środku jej umieszczona jest główna brama z ciosowego kamienia, prowadząca na obszerny dziedziniec.

Na bramie, po lewej stronie, na ciosowym kamieniu widnieje ogromnych rozmiarów krzyż, z drugiej strony topór. Jest to herb Ossolińskich; — pod krzyżem wykute są w kamieniu dwie litery W., a pod toporem r. 1631.

Przez bramę wchodzi się na dość obszerne czworokątne podwórze; wychodzą na nie okna z dawniej zamieszkałego pałacu. W podziemiach były umieszczone wozownie i stajnie, wspomina o nich Puffendorf — kronikarz, nieodłączny towarzysz wypraw króla szwedzkiego.

Pod stajniami, znajdują się podziemia i lochy. Po zrujnowanych murach i sklepieniach, dostajemy się do dawniejszych wiszących ogrodów — o których także w swych pamiętnikach wspomina Puffendorf — że z przepychem były urządzone. Ogrody te umieszczone były między murem fortyfikacyjnym a zamkiem i prawie go do koła otaczały.

Puffendorf zalicza zamek w Ujeździe do najpiękniejszych i największych u nas w kraju — wspomina, że na szczycie jednej z wież, znajdował się okrągły pokój, z oszklonym płaskim dachem, na który rurami sprowadzano wodę, a w niej złote pływały rybki. Zamek wystawił Krzysztof Ossoliński, wojewoda sandomierski i nazwał go od herbu swego zamek „Krzysztopor,“ — był to gmach, obronny i okazały, włoskiej architektury.

Cała budowa zastosowana była do podziału roku całego. I tak, — tyle było tam okien, ile dni w roku, tyle pokoi, ile tygodni, tyle sal, ile miesięcy — cztery zaś narożne wieże, oznaczały ilość kwartałów.

Gdy jedyny syn wojewody zmarł w młodym bardzo wieku, majątek przeszedł w ręce Kalinowskich, i właśnie wtedy, bo w r. 1655 Szwedzi, zdobywszy tę twierdzę, spalili, spustoszyli i ograbili ją z cennyh i kosztownych pamiątek.

Później dobra Krzysztopor przeszły po kądzieli w ręce Paców w roku 1770 i już jedno tylko skrzydło zdatne było do użytku; reszta stała pustkami i groziła ruiną. W czasie konfederacyi barskiej wojska jej tu silnie się broniły, co też gmach ten do ostatniej doprowadziło ruiny.

W lat kilka kupił Ujazd z przyległemi dobrami Kajetan Sołtyk, biskup krakowski i oddał go w posiadanie swemu synowcowi, Stanisławowi Sołtykowi, podstolemu krakowskiemu.

W roku 1787 Stanisław August, jadąc do Krakowa, zatrzymał się na odpoczynek w Iwaniskach, i ztąd jeździł do Ujazdu zwiedzić zamek.

Cały zamek malowany był zewnątrz żółtym kolorem. Brama wjazdowa zbudowana była w r. 1631, a oprócz olbrzymiego krzyża i topora, o którym wspominałem, nosi na sobie herb Habdank.

W ogóle cała ruina zamku Krzysztoporskiego, jakkolwiek niedawnych czasów sięga, wielce jest charakterystyczną. Ma ona odrębną od wszyst-



Droga do Ujazdu.

kich innych postać. Kiedy inne podobne gmachy wyniosłemi wieżami wznoszą się ku obłokom, ta wszędzie prawie równa, mury swoje szeroko tylko na ziemi rozściela; — kiedy tamte śmiałością pomysłu nieraz dziwią wędrowca i twarde rycerskie przypominają mu czasy, ta rozwija obraz miękkości i przepychu. W tamtych widać silną wolę założyciela, silną myśl artysty, — tu okazuje się tylko kolosalna próżność i kolosalne bogactwo.

Dziś niepodobna obejrzeć sal i pokoi, bo niema już schodów a mury walą się i sklepienia pękają.

W sali balowej, nad wielkim kominkiem umieszczony jest napis:

„Miły w tym domu pokój przemieszkuje
„Gdzie mąż przygrywa, żona przyśpiewuje.“

Dobra Krzysztoporskie, przechodząc rozmaite koleje, uległy rozdrobnieniu, a obecnie Ujazd jest własnością p. Orsettiego.

Ruiny te mimowoli budzą myśl, że pycha, duma, i samolubstwo, prędzej czy później ulegają karze. Tu stało się to bardzo prędko, zamek Krzysztoporski prawie w jedenaście lat po wzniesieniu, w części był już zburzony.

Ta kupa gruzów przemawia do wędrowca, że wszyscy jesteśmy równi, a miłość, jedność i braterstwo, łączyć nas winny w jedną rodzinę.

Władysław E. Zapałowski.

Koniec.

Z żałobnej karty

† Ś. p. Anna Danysz.

Na społeczeństwo nasze, nawiedzane tak dotkliwie stratami, zesłał Bóg nowy cios nader bolesny: ś. p. Anna Danysz, przełożona wyższej szkoły żeńskiej dnia 25 z. m. Bogu ducha oddała. Wypadek ten smutny żałobnem echem odbije się we wszystkich zakątkach już nietylko bliższych, ale i najodleglejszych kraju naszego; gdyż niema prawie rodziny w wyższych i średnich sferach społeczeństwa naszego, z którejby nietylko córki, ale i matki nie zwiedzały zakładu tak wzorowo pod względem naukowym, jak i wychowawczym przez ś. p. Annę prowadzonego.

Urodziła się ś. p. Anna Danysz w Poznaniu 23 sierpnia roku 1845. Wykształcenie swe odebrała w zakładzie ś. p. profesorowej Poplińskiej. Po gruntownem pogłębieniu nauk i przygotowaniu się do zawodu nauczycielki, złożyła egzamin rządowy, a po paru latach pracy zawodowej i rozszerzeniu wiedzy ogólnej i pedagogicznej, uzyskała po zdaniu odpowiedniego egzaminu patent na przełożoną wyższych szkół żeńskich. W roku 1871 objęła wyższy zakład naukowy po ś. p. profesorowej Poplińskiej i prowadziła go najprzód pod kierownictwem ś. p. profesora Mottego, a potem samodzielnie do ostatniej chwili życia — aż legła na posterunku.



Ś. p. Anna Danysz.
Klisza sporządzona według fotografii wykonanej w zakładzie fotograficznym p. J. Maćkiewicza — „Atelier Iris“ — przy Starym Rynku 77.

A jaką ś. p. Anna była przełożoną, o tem wiedzą legiony uczennic, wiedzą i członkowie kolegium nauczycielskiego. Z powagą przełożonej łączyła się przedziwnie słodycz serca prawdziwej matki, której drogą była każda jednostka pieczy jej powierzona. Umiała się zniżyć do maluczkich — umiała po mistrzowsku wpływać i na panny dorosłe, uczennice seminaryum prywatnego, połączonego z wyższą szkołą żeńską. Ile około utrzymania tego zakładu, przygotowującego elewki do egzaminu na nauczycielki szkół wyższych żeńskich, poniosła przykrości i ofiar wobec trudności składania egzaminu przed obcą zupełnie komisyą egzaminacyjną — o tem szersza publiczność nie ma nawet w przybliżeniu pojęcia. Ta niestrudzona gorliwość przedwcześnie Zgasłej, ten wzorowy takt przełożonej, to gorące i poświęcenia pełne serce znalazło też należny oddźwięk w sercu uwielbiających ją uczennic i w sercu kolegium nauczycielskiego, które miało zaszczyt pracowania w wzorowym zakładzie pod światłem, pełnem gorliwości i taktu, a przedewszystkiem pełnem ciepła kierownictwem ś. p. Anny.

Bolejemy głęboko nad ciężką i niepowetowaną stratą i łączymy się w modlitwie ogólnej o wieczny spoczynek dla Duszy tak prawej i gorącej, strapionej zaś Siostrze oraz uwielbianemu przez Zmarłą Bratu i całej Rodzinie zasyłamy wyrazy szczerego współczucia.

* * *

Pogrzeb odbył się z domu żałoby dnia 28-go z. m. po południu na stary cmentarz świętomarciński. Mimo niesłychanego upału zgromadziło się kilkanaście tysięcy osób, które pragnęły oddać ostatnią przysługę cieszącej się niekłamaną sympatyą wychowawczyni naszych dziewcząt. Przed trumną pokrytą wieńcami postępowało kilkaset panienek z nauczycielkami w rzędach. Kondukt żałobny prowadził ks. biskup dr. Likowski w asyście kilkunastu kapłanów. Płacz głośny, rzewny towarzyszył nad otwartą mogiłą śpiewom duchowieństwa a spotęgował się jeszcze po krótkiem, rzewnem, serdecznem przemówieniu księdza biskupa Likowskiego.

Zmarłej oby ziemia była lekka!
Cześć Jej pamięci.

Tyle razy!

Tyle razy ostra zima
Śmierć niosła na kwiaty,
Jednak budzą się co wiosnę
Stroją w piękne szaty.

Tyle razy mróz marderca
Ścinał rzeki w lody...
Jednak wiosna przyjdzie ciepła
Z szumem płyną wody.

Tyle razy wróg nam groził
Grobem i mogiłą...
Jednak wszystko w Polsce żyje
Tak, jak dawniej żyło.

Tyle razy zasiewali
Zwątpienia plon czarny.
Jednak wiara wśród nas żyje
Przytłumia siew marny.

Tyle razy rozbierali
Ojczyznę kochaną...
Jednak cała jest i będzie
Przez lud miłowaną!...

Tyle razy już poznali,
Iż w obronie trwamy,
Umęczeni, ukrzywdzeni,
Zabić się nie damy.

Banknot stufrankowy.

Humoreska Gastona Cerfberra.

Tłumaczenie z francuskiego.

Ostatnimi czasy oddawałem się socyalizmowi czynu, starając się zastosować praktycznie i prawdziwie użytecznie zasady teoretyczne. Nie miałem powodzenia! Winienem dodać, iż stało się to cudzym kosztem ale przysięgam uroczyście, iż nie uczynię tego już nigdy, nawet z własnych funduszów!

Oto, jak się rzeczy miały. Należała mi się dosyć znaczna suma pieniędzy z kasy jednego z ministerstw; wydano mi asygnacyę, którą zrealizowałem w kasie. Na ulicy, dość już daleko od gmachu ministerstwa, spostrzegam, iż wypłacono mi o sto franków więcej.



Droga do Ujazdu.

(Patrz artykuł p. t. „Z wędrówki po Królestwie Polskiem").

Liczę raz i drugi i rzeczywiście mam o sto franków zanadto. Omylono się widocznie przy obliczaniu mej należności, a wskutek tej omyłki stałem się posiadaczem nie należących do mnie stu franków.

Cóż tu począć? Oddać?...

No, ma się rozumieć, że należy zwrócić pieniądze.

Powracam tedy ku ministerstwu, niezadowolony cokolwiek z tej przymusowej przechadzki, a po drodze rozmyślam o następstwach; czeka mię włóczęga z jednego biura do drugiego. Kasyer powie mi, że to nie jego rzecz, odeszle mię do naczelnika biura, ten znów zawezwie podwładnego sobie urzędnika, skonfrontuje go ze mną, przejrzy wystawioną przez winowajcę asygnacyę i nastąpi cały szereg napomnień, wyjaśnień okoliczności, wśród jakich mogła zajść fatalna pomyłka i t. d. i t. d. Ileż kłopotu z powodu marnych 100 franków!

A gdybym nie oddał?

Byłaby to kradzież, to prawda, ale na szkodę Państwa. Otóż, każdemu wiadomo, iż nie okrada się Państwa; bo Państwo, to ja, wy i wszyscy współobywatele; Państwo stanowią kontrybuenci, t. j. conajmniej 36 milionów osób. Chodzi tu o 100 fr., więc pozbawiam każdego z moich rodaków bardzo nieznacznej sumki, $^1/_{36}$ milionowej części stu franków, czyli...

Rozmyślając w ten sposób, zwolniłem kroku, przystanąłem nawet, o ile pamiętam, gdyż problemat ten natury moralnej i materyalnej trudny był do rozwiązania. W tem, słyszę jakiś głos, przerywający moje rozpamiętywania:

— Mój dobry panie, zlituj się!... Jestem bez pracy, nie jadłem... od trzech dni!

Patrzę i widzę przed sobą żebraka, okrytego łachmanami, pozszywanymi szpagatem; przez dziury ubrania przegląda nagie ciało, obuwie podarte, bez podeszew. Jednem słowem, nędzarz!

— Nie znalazłem zajęcia, nie jadłem... powtarza biedak.

Błysnęła mi myśl, którą po dziś dzień uważam za słuszną i ludzką. Czyliż społeczeństwo nie ma obowiązku wesprzeć tego pracownika, pozbawionego pracy i chleba? Czy nie powinno powstrzymać go od złych czynów, które on może popełnia? Wspomódz go nie paru groszami lub funtem chleba, lecz dać mu tyle, aby mógł podnieść się ze swego upadku: kupić sobie przyzwoitą odzież, odżywić się należycie celem nabrania sił i odwagi do pracy, którą znajdzie niewątpliwie i której odda się ze spokojem, gdy będzie mógł oczekiwać wypłaty spokojnie, nie zadłużywszy się naprzód! Tak jest! Opatrzność, dając mi w ręce te sto franków, obrała sobie mnie widocznie za narzędzie swoje, za pośrednika w podźwignięciu tego nieszczęśliwego, który godzien jest wsparcia.

Wszystko to przeszło mi przez myśl w ciągu 26 sekund zaledwie. Wydobyłem banknot, a podając go nędzarzowi, rzekłem:

— Weź biedaku i użyj dobrze tych pieniędzy.

Żebrak patrzał na mnie z niedowierzaniem, obejrzał niebieski banknot, wreszcie schował go do kieszeni swego połatanego ubrania, mówiąc:

— Tam do licha!... Jesteś wspaniałomyślny, mój obywatelu.

Wolałbym był może inny sposób wyrażenia mi wdzięczności, ale ci ludzie mają swój specyalny język, nic więc dziwnego, że podziękował mi po swojemu.

Oddaliłem się o parę kroków, a i obdarowany ruszył raźno w przeciwną stronę. Przyszła mi myśl, aby popatrzeć co ten biedak pocznie z pieniędzmi.

— Szuka piekarni, myślałem sobie.

Ale nie! Wszedł do handlu win. Doznałem przykrego zawodu. Czyżby Opatrzność pomyliła się tym razem, czy też ja źle zrozumiałem Jej zamiary?

Przez szybę widziałem, jak mój biedak przecisnął się do bufetu. Wydał jakieś polecenie, lecz winiarz spojrzał na niego niedowierzająco, zapytał go widocznie czy będzie miał czem zapłacić, a żebrak pokazał mu banknot niebieski. Winiarz począł go indagować ponownie, następnie zaś zawezwał do handlu dwóch policyantów, którzy gawędzili sobie w pobliżu na chodniku. Stróże bezpieczeństwa publicznego wzięli pod ręce nędzarza, który stawiał niejaki opór. Scena ta iście paryska zajęła mię żywo. Tymczasem biedak, prowadzony przez policyantów, spostrzegł mię i miał widocznie ochotę powołać się na moje świadectwo. Oho! tegoby jeszcze brakowało... Nie mam wcale ochoty mieszać się w tę sprawę i włóczyć się po biurach policyjnych. Przyspieszyłem kroku, ale zwróciłem na siebie uwagę policyantów, z których jeden puścił się za mną i skonfrontował mię z nędzarzem.

— Dlaczegoś pan uciekał? — pyta mię policyant.

— Nie uciekałem wcale, ale szedłem swoją drogą.

— Tak? Ale pan znasz tego człowieka?

— Nie mogę powiedzieć, że go znam, gdyż nie znam jego nazwiska

nie wiem czem się trudni i gdzie mieszka, jeśli wogóle ma jakie mieszkanie.

— Czy pan dałeś mu sto franków?

— Dałem mu je.

— Cóż pana mogło skłonić do tak niezwykłej hojności względem człowieka którego nigdy przedtem nie widziałeś?

Nie mogłem przecież opowiedzieć całej historyi tym ludziom, w obecności tłumu gawiedzi, która nas otoczyła, odrzekłem więc:

— Dałem mu te sto franków poprostu dlatego, że mię prosił o wsparcie i że uczułem litość dla jego nędzy...

— Hm... hm! Sto franków jałmużny... to trochę nieprawdopodobne! No, marsz na policyę... Wytłómaczycie się obaj przed panem komisarzem.

Odstawiono nas do biura pana komisarza, gdzie zastaliśmy tylko jego sekretarza, niskiego blondyna o bardzo łagodnym wyglądzie. Sądziłem, że sprawa zakończy się natychmiast. Ale gdzież tam! Nie mogłem przecie wyznać, że te sto franków nie stanowiły mojej własności, bo miałby najzupełniejsze prawo aresztować mię, gdyż policya nie podziela tych zapatrywań co do własności Państwa, jakiemi ja się rządziłem. To też i sekretarz nie mógł zrozumieć pobudek, jakie mię skłoniły do obdarzenia napotkanego po drodze nieznajomego tak hojnym datkiem.

— Nie mogę zrozumieć, dlaczego ma pan dałeś sto franków.

— Powtarzam raz jeszcze, iż nędza jego wzruszyła mię do głębi...

Jest to historya z tysiąca i jednej nocy! Tem więcej, że ten żebrak zdaje się być recydywistą, karanym już kilkakrotnie za różne zbrodnie. Trzeba będzie poczekać na powrót pana komisarza. Odprowadzić obu oskarżonych do aresztu!

Trzy godziny jęczałem na wilgotnej słomie, oddając się słodkim rozmyślaniom. A po głowie ciągle plątało mi się zapytanie, które już tyle razy słyszałem:

— Po cóż, do dyabła, dałem temu obszarpańcowi sto franków?

Uwięzienie moje przerwał nareszcie powrót pana komisarza. Był to urzędnik wytrawny, surowy, przywykły do wyświetlania prawdy za pomocą zręcznego badania, a przytem miał widoczną skłonność do wierzenia, iż za każdym razem ma do czynienia ze zbrodniarzem, którego oczekuje rusztowanie gilotyny!

— Więc to pan jesteś owem indywiduum, które starało się ukryć po obdarowaniu nieznajomego sobie żebraka stufrankowym banknotem? Tak. Dobrze. Pańskie nazwisko? Imię? Charakter?... Czy masz pan stałe miejsce zamieszkania? Dobrze... Jakie są pańskie środki do życia?

— Zarabiam 4.000 franków, jako ajent domu handlowego...

— Czy masz pan jaki majątek osobisty?

— Posiadam niewielką sumkę, złożoną w Kasie Oszczędności.

— Czyli, że nie posiadasz pan prawie nic! W pańskiem położeniu 5 franków stanowi już znaczną sumę! A więc, mój łaskawco, trzeba, abyś wyznał wszystko i to szczerze. Dlaczego dałeś pan sto franków temu człowiekowi?

— Zacząłem się już niecierpliwić tem pytaniem, lecz rozpocząłem opowiadać, jak się rzecz miała. Komisarz przerwał mi, wołając:

— Wiem, opowiadano mi już tę historyę. Jest ona nieprawdopodobną! Aha! jeszcze jedno pytanie... Rodzice pańscy żyją jeszcze?

— Ach mój Boże! mam lat pięćdziesiąt dwa, sądzę zatem, iż nie będzie to uważane za nowe nieprawdopodobieństwo, gdy powiem, że jestem sierotą!

— Proszę nie żartować, zgromił mię surowo komisarz. Pańska sprawa nie jest wcale tak śmieszną, jak się to panu wydaje. Co było powodem śmierci pańskiej matki?

— Umarła wkrótce po mojem przyjściu na świat; nie znałem jej wcale.

— A ojciec?

— Ojciec umarł na apopleksyę, mając lat 78.

— Czy nie było w rodzinie chorób umysłowych?

Zaczynam rozumieć. Paradna historya! Chce mię wysłać do domu obłąkanych! Zachowajmy zimną krew.

— Nie, panie komisarzu — odrzekłem.

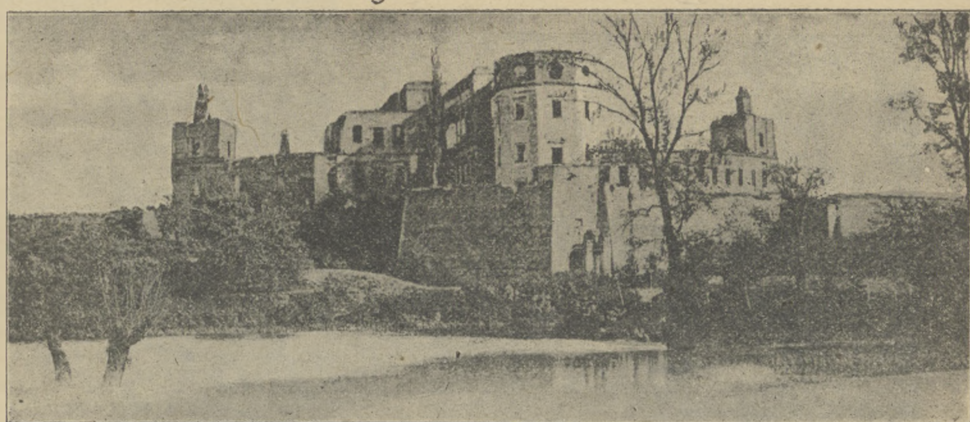
— Nic zatem nie tłomaczy faktu, dlaczegoś par dał temu włóczędze 100 franków.

Ciągle jedno i to samo w kółko. Zimna krew opuściła mię i wpadłszy w nieopisany gniew, walę pięścią w stół i krzyczę, jak prawdziwy opętaniec:

— Dość już tych głupstw! Rób sobie pan co ci się żywnie podoba, ale zaprzestań raz już tego niedorzecznego badania! Nie odpowiem, ani słówka!

Policyanci pochwycili mnie za ręce i odprowadzili napowrót do aresztu. Po długich dochodzeniach i sprawdzeniu wiadomości o mnie wypuszczony zostałem nareszcie na wolność, lecz komisarz wytoczył mi proces o znieważenie go słowami podczas urzędowania. Kosztowało mię to 300 franków kary, a 117 franków wyniosły koszta procesu. Nie postąpiono sobie łagodnie ze mną, za mój dobry uczynek wymierzono mi najwyższą karę, gdyż przewodniczący sądu oświadczył mi, że moja sprawa przedstawiała się dosyć niejasno, nie można bowiem było wytłomaczyć sobie: dla czego mianowicie dałem aż sto franków nieznajomemu włóczędze....

Klnę się na wszystko, iż odtąd nie będę nigdy rozporządzał się własnością Państwa! Kosztowało mię to zbyt wiele!



Ruiny zamku w Ujeździe. Widok ogólny.
(Patrz artykuł p. t. „Z wędrówki po Królestwie Polskiem“).

Złote listki.

Złośliwa natura do tego nas wiedzie:
Cudze piszesz na głowie, a swoje na ledzie.

Adam Naruszewicz.

* * *

Wszyscy sobie zazdrościm, a to jest największym dowodem, iż nie mamy sobie czego zazdrościć.

Ignacy Krasicki.

Na Polesiu.

W bagnie, piasku i borze,
Przy jeziora odnodze
Siedzi wioska w pokorze,
Jako żebrak przy drodze.

Szumią sosny barczyste
Jakby doli swej płaczą,
Biedna wioska zaiste —
Jakże patrzy żebraczo!

Ludzie w lnianej siermiędze
Lub odarci jak nadzy,
Na ich twarzy znać nędzę,
I brud dymu i sadzy.

Zgniłemi sterczą ściany
Jej stodoły i domy,
Zamiast dachu, łachmany
Z oczeretu i słomy.

Przecież bocian, stróż chaty,
Złożył gniazdo na strzesie;
Wierzy wieśniak brodaty,
Że to szczęście mu niesie.

Pleciesz, pleciesz, mój stary!
Tu bocianów gromada
Jeśli wróżbie dać wiary
Szczęsna wasza osada!

My żyjemy szczęśliwie,
Nie masz chleba na stole,
Żółty piasek na niwie,
Trawa rośnie w stodole.

W myślach skrytych pomroką
To błyśnie, to się zaćmi,
Człowiek westchnie głęboko
Sam nad sobą, nad braćmi!

Wtedy serce człowiecze
Bije jako młot w kuźni;
Lecz gdy boleść dopiecze
To i Bogu człek bluźni.

Łza przegryza powieki,
Z pracy kości aż bolą....
Wróżba wróżbą na wieki,
A niedola niedolą!

Za górami gdzieś świata
Nasze słonko się zarzy;
Bocian stamtąd wylata
I pozdrawia nędzarzy.

Jego niebo przesyła
Niszczyć plemię wężowe;
Och, nie ptasia to siła
Wszystkim wężom zgnieść głowę!

Wierzym wróżbom, gdy bieda,
By oszukać się sami,
Dola szczęścia nam nie da,
Okłamiem je wróżbami!

Człowiek głupszy od dzieci —
Szczęścia czeka i czeka;
A nim słońce zaświeci,
Rosa oczy wypieka.

Władysław Syrokomla.



Ruiny zamku w Ujeździe — od strony zachodniej.
(Patrz artykuł p. t. „Z wędrówki po Królestwie Polskiem").

Sprawy ekonomiczne.

Spółka pszczelarska
otworzyła w mieście naszem przy ulicy Bismarka nr. 7 dnia 1-go b. m. nowo założony interes. Przed otwarciem odprawiła się na pomyślność rozwoju Spółki msza św. w kościele św. Marcina, poczem nastąpiło poświęcenie lokalu.

W interesie nowo założonym, jedynym na całe Księstwo, będzie można nabywać przez cały rok prawdziwego miodu pszczelego. Prócz tego będzie można tam nabyć wybornych win miodowych i owocowych różnego rodzaju, jako też pierwszorzędnych owoców jesiennych i zimowych, oraz karmelków czysto-miodowych i pierników.

Szanownym Panom Pszczelarzom zwracamy jeszcze uwagę, że Spółka Pszczelarska będzie im dostarczać najlepszej węzy sztucznej, rozmaitych przyrządów i narzędzi bartniczych i „cygar pszczelarskich". Równie uwagi godnem jest, że swoje zbiory miodu i wosku Spółce odstawiać będą mogli.

Spodziewamy się, że Szanowna publiczność powita Spółkę Pszczelarską z szczerą życzliwością i nie odmówi jej swego poparcia.

Nowym pracownikom: Szczęść Boże!

* * *

Spółka szewska w Gnieźnie.

Staraniem tutejszych obywateli zawiązała się na miejscu spółka pod firmą: „Spółka szewska w Gnieźnie, Schuhmacher- Rohstoff und Absatzverein, e. G. m. b. H.", której zadaniem będzie

1) założenie handlu skór i przyborów potrzebnych w rzemiosłach skórniczych,

2) sprzedaż gotowych wyrobów.

Aby zebrać odpowiedni kapitał, unormowano ustawami wstępne w wysokości mk. 1,50, wysokość udziałów na mk. 100,—; jednemu członkowi wolno mieć 10 udziałów. Wstępne i mk. 10, na udział wpłaca się z góry przy podpisaniu deklaracyi przystąpienia, resztę w miesięcznych ratach po mk. 3.

Przemysł skórniczy, zwłaszcza szewski, jest w dzielnicy naszej szeroko rozgałęziony, niestety nasi rzemieślnicy tej branży, z małymi wyjątkami ekonomicznie najsłabiej stoją i polega to częściowo na tem, że zależni są od dostawców. Spółka szewska ma dostarczać członkom i nieczłonkom towar rzetelny po cenach przystępnych, ewentualne nadwyżki przypadną wyłącznie odbiorcom i członkom w udziale.

Aby rozpoczęcie działalności spółki przyspieszyć, zwracamy się do wszystkich, którzy mogą poświęcić tę drobną kwotę z prośbą, aby zechcieli zapisać się na członków i o ile możliwie cały udział (100 mk.) od razu wpłacili, do zamożniejszych zaś apelujemy, aby więcej udziałów podpisać zechcieli. Deklaracyę przystąpienia i ustawy spółki doręczą każdemu zgłaszającemu się członkowie zarządu pp.: Andrzej Thiel, Mieczysław Rataszewski i Andrzej Koczorowski w Gnieźnie.

Spółka zapisana została w sądzie dnia 6 kwietnia r. b. i liczy obecnie 75 członków.

Spółka szewska w Gnieźnie
e. G. m. b. H.
RADA NADZORCZA.
A. Janowski, dr. Tomaszkiewicz,
S. Choynacki, ks. A. Tyrakowski,
M. Krysztafkiewicz, M. Tarka
A. Hernes.

* * *

Związku ogrodników na W. Ks. Poznańskie.

domaga się *p. Smigaj z Czerniejewa* w odezwie wysłanej do gazet naszych, w której nazywa stan ogrodniczy w W. Ks. Poznańskiem „ospałym i gnuśnym“. Dla czego? Oto dla tego, „że gdy inne zawody ocuciły się z letargu i zaczęły się skupiać w Związki zawodowe, zaczęły stawiać czoło germanizacyi i kolonizacyi, przez wspólną oświatę, przez łączenie sił materyalnych, przez wydawanie gazet zawodowych, to stan ogrodniczy w W. Ks. Poznańskiem drzemie w letargu zimowym.“

„Ospałość, gnuśność i niezaradność nasza — tak kończy odezwę swą p. Smigaj — pozwoliła osiedlić się tylu ogrodnikom Niemcom w grodzie Przemysława i Lecha i taż sama ospałość i gnuśność nie pozwoliła nam się poświęcić specyalnym hodowlom różnych krzewów, warzyw lub kwiatów na większą skalę. Zbudźmy się, póki jeszcze czas, stańmy ramię przy ramieniu, tak ogrodnik handlowy jak dworski, pracujmy wspólnemi siłami nad oświatą naszego stanu. Wiosna świta i nam, żyjemy wszyscy w chwili przełomowej, wyjdźmy więc z naszych chat i stańmy jak jeden mąż do pracy zbiorowej!“



Zamek w Ujeździe od strony północnej.
(Patrz artykuł p. t. „Z wędrówki po Królestwie polskiem“).

* * *

Polskie pieniądze do polskich kas

W „Poradniku dla Spółek“ znajdujemy następujący wielce praktyczny artykuł w sprawie szerzenia oszczędności:

Pracujący w Spółkach wiedzą bardzo dokładnie, iż wiele jeszcze znajduje się między ludem naszym pieniędzy, leżących odłogiem, nie przynoszących procentu dla tego, iż właściciel przechowuje je jeszcze po kryjówkach, barakach i t. d.

Nieznającemu się na rzeczy mogłoby się zdawać, że dzisiaj, gdzie gazety i pisma tak rozpowszechnione, gdzie oświata dociera do najciemniejszych zakątków — że dzisiaj już nie ma ludzi, którzyby nie umieli umieszczać swych pieniędzy po bankach i spółkach naszych. Wtajemniczeni w życie ludu naszego wiedzą, iż tak nie jest. Znaczne zasoby gotówki spoczywają bezczynnie ze szkodą nietylko właściciela, ale i społeczeństwa.

Do najpoważniejszych zadań spółek naszych zaliczyć należy wydobycie tego grosza bezczynnego z kątów i pleśni, w której spoczywa, a oddanie go prawidłowej, zdrowej ożywiającej cyrkulacyi. Równiemiernie z tem zadaniem idzie druga konieczność wyrabiania zmysłu oszczędności w naszym ludzie.

Sam fakt istnienia Spółki przyjmującej oszczędności a płacącej od nich procenta, budzi chęć wyzyskania bezczynnie leżącego grosza, wyzyskania procentu, budzi chęć oszczędzania.

Kółko składających oszczędności rozszerza się powoli. Gdzie istnieją towarzystwa działające wzorowo, starające się w swych członkach wyrobić zmysł oszczędności, wskazać im banki, tam prędzej rozwinie się koło deponentów. Gdzie towarzystw, ni ludzi wpływowych agitujących za składaniem pieniędzy nie ma, tam idea oszczędnościowa bardzo powoli kiełkuje w ludzie.

Pragnąłbym tutaj sprostować mylne mniemanie, że deponenci sami nakłaniają innych do składania pieniędzy. Dzieje się to z pewnością raz po raz, ale nie często. Większość się powstrzymuje od tego z obawy, aby przez taką rozmowę sąsiedzi się nie domyślili, że on ma pieniądze w banku.

Członkowie zaś Spółek powstrzymują się od agitacyi za składaniem oszczędności bądź to z obojętności lub niezrozumienia rzeczy, bądź też dlatego, aby się ludzie nie domyślali, że nakłaniający do oszczędzania ma pieniądze w banku.

Wynika ztąd, iż zazwyczaj wiadomość o Banku i korzyściach oszczędności bardzo trudno dociera do tych warstw, które najwięcej składają oszczędności.

Jak temu zaradzić?

Tu i owdzie nie odczuwa się potrzeby, aby rozgłaszać istnienie Banku. Liczne spółki już i tak mają obecnie nadmiar kapitałów lokowanych w Banku Związku, pocóżby się tedy miały starać o większy jeszcze napływ depozytów, które powiększają pracę, nie powiększając odpowiednio zysków. Tłómaczenie tego rodzaju nieraz się odzywa. Że jest ono niesłusznem i niezgodnem z zadaniami spółki, wynika z tego, cośmy wyżej napomknęli o wyrabianiu zmysłu oszczędności, oraz z faktu, że istnieją spółki założone prawie wyłącznie na to, aby zbierały depozyta, bo do wypożyczania nie mają prawie sposobności.

Dla tego to Spółki powinny wszędzie rozwinąć ożywioną działalność w tym kierunku, aby nieoświecone jeszcze tłumy ludzi, którzy oszczędności nie składają, chociażby mogły, zachęcić do powierzenia bankom swych pieniędzy.

W jaki sposób?

Kilka Spółek z wielką korzyścią posługiwało się drukowanemi odezwami z tekstem objaśniającym, podając równocześnie warunki, pod którymi się przyjmuje depozyta.

Patronat rozpisując konkurs na tekst odezwy umyślił oszczędzić Spółkom troski o układanie tekstu, podając im odezwę gotową, w której uzupełni się tylko drobnostki odnoszące się do poszczególnych Spółek.

Należy jednak pamiętać o tem, że odezwy te wywrą skutek pożądany tylko wtedy, jeśli się je rozszerzać będzie celowo i systematycznie.

Główną przy tem jest zasadą — nie szczędzić odezw, a rozszerzać je tak, żeby się miało przekonanie, że dotrą do każdej rodziny.

Chcąc dotrzeć z odezwą co najmniej do każdej rodziny, trzeba sobie dokładnie obmyśleć i sposoby rozdawania odezw i wszystkie równocześnie wyzyskać.

Jakiemi drogami wciskać ludziom odezwy do rąk?

1) W lokalu kasowym. Każdemu interesentowi, czy to członek lub deponent, wyjaśniwszy sprawę, dać kilka odezw, z prośbą aby je rozdał znajomym swoim.

2) Na Walnem Zebraniu omówić

sprawę i zebranym rozdać po kilka odezw z prośbą o rozszerzenie ich.

3) Kupcom, do których uczęszcza lud wiejski, dać po kilka odezw do zawijania weń towaru.

4) Dołączać odezwę jako dodatek do gazet, najwięcej czytywanych w miejscu. Przed rozdaniem tych gazet łatwo włożyć w nie odezwę.

5) Wyzyskać istniejące towarzystwa w miejscu i okolicy. Niema u nas towarzystw, któreby odmówiły swej w tym względzie pomocy, jeśli się Spółka porozumie z zarządem. Owszem, towarzystwa dobrze prowadzone chętnie się zajmą rozszerzaniem odezwy, gdyż i im chodzi o szerzenie zmysłu oszczędności wśród członków. Oczywiście należy się dowiedzieć o wszystkich towarzystwach w okolicy, mianowicie o towarzystwach rolników, robotników it.d, i wejść w porozumienie z ich zarządem.

6) Okolicznym ks.ks. Proboszczom stawić do dyspozycyi jak największa ilość odezw. Każdemu duszpasterzowi zależy na tem, aby parafianie jego składali oszczędności, gdyż to usuwa pijaństwo i podnosi całe życie rodzinne. Proboszcz, mając bezustanną styczność z bractwami i t. d., może za ich pomocą znaczne umieścić zapasy odezw.

Piszący te zdania z własnej może potwierdzić praktyki skuteczność wielką odezw rozrzucanych w znacznej liczbie.

Z góry jednak wiedzieć należy, że jednorazowe rozszerzenie odezw nie wystarczy. Koniecznie trzeba to ponawiać raz po raz. Dlatego też Patronat rozmaite Spółkom przedkłada teksty odezw, aby była sposobność do zmiany. Sądzę, że Szanowne Spółki, które za temi pójdą wskazówkami i posłużą się tym łatwym a jednak bardzo skutecznym sposobem szerzenia zmysłu oszczędności, nie zawiodą się na nim tak samo, jak się nie zawiodły Spółki, które już dawniej odezw używały.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 7-go lipca 1572 śmierć Zygmunta Augusta. — 1578 przywilej Jezuitom na założenie akademii w Wilnie. — 1633 śmierć hetmana Lwa Sapiehy. — 1807 traktat tylżycki tworzy Księstwo warszawskie. — 1831 bitwa w Szawlach.

Dnia 8-go lipca 1343 ustąpienie niektórych ziem Krzyżakom. — 1414 Władysław Jagiełło staje pod Wolborzem przeciw Krzyżakom. — 1709 bitwa pod Pultawą otwiera Augustowi II. drogę do Polski.

Dnia 9-go lipca 1330 spalenie Nakła przez Krzyżaków. — 1460 założenie opactwa lubińskiego — 1623 Gdańsk składa hold i płaci podatki. — 1734 kapitulacya Gdańska i zajęcie go przez Moskali. — 1736 koniec sejmu pacyfikacyjnego.

Dnia 10-go lipca 1631 śmierć Konstancyi, żony Zygmunta III. — 1651 rozproszenie Kozaków nad rzeką Pleszową. — 1660 Aryanie wypędzeni z Polski. — 1685 pobicie Tatarów pod Jasłowem. — 1696 śmierć Jana Sobieskiego. — 1831 bitwa pod Mieszkuciami.

Dnia 11-go lipca 1649 bitwa pod Zborowem. — 1657 pogromienie Rakoczego pod Magierowem. — 1831 Moskale przechodzą Wisłę pod Nieszawą.

Dnia 12-go lipca 1345 Czesi oblegają Kraków. — 1579 manifest Batorego do Ryżan. — 1704 Stanisław Leszczyński po raz pierwszy obrany królem. — 1831 Giełgut wprowadza wojsko polskie do Prus.

Dnia 13-go lipca 1410 zdobycie na Krzyżakach Dąbrowna. — 1508 pobicie Moskwy nad Dnieprem. — 1564 bitwa z Moskalami pod Jezierzyszczami. — 1578 Leonard Thurneiser nadsyła Batoremu lekarstwo przeciw truciźnie. — 1612 komisya w Królewcu ustanawia rząd w Prusach. — 1615 śmierć Piotra Tylickiego, biskupa krakowskiego. — 1606 klęska Jana Kaźmierza pod Montwami. — 1697 Flemming zaprzysięga pacta w imieniu Augusta II. — 1794 oblężenie Warszawy przez Prusaków.

Humor i satyra.

Z melodji sielskich.

— Oj, oj, stara, moja stara,
Coś na wnętrzu mnie rozpiera,
Już pewnikeim, że ci zamrę.
Albo nigdy, albo tera!
Oj, oj, stara, moja stara,
Będzie dla mnie to pociecha,
Kiedy po mojej śmierci zara
Wyjdziesz za mąż za Wojciecha...
— Cichoj stary, bo mi syrce
Pęknąć moze w strasznej chwili,
My z Wojciechem już od roku
Przeć to samo ulozyli...

— Oj, oj, kumo, moja kumo,
Niech mnie bisi w kęsy potną,
Że mi życie się sprzyksyło,
Ze na świecie mi markotno:
Oj, oj, kumo, moja kumo,
Juzem jo ci śmierci bliska,
Bo co dzień , gdy świta ranek
Mój przychodzi ot, z karcmiska.
— Oj, kumusiu, nie biadajcie,
Nie zlewajcie ziemi rosą,
Wasz przynajmniej sam przychodzi,
A *mojego*, to przyniosą....

Magiczny kwadrat.

Ułożył czytelnik „Pracy“ Franciszek Chytry z Kobylina.

a	a	a	a	a
a	a	a	a	b
i	i	k	k	k
k	o	o	p	r
r	z	z	z	z

W powyższym kwadracie ustawić litery tak, aby czytane w dłuż i z góry na dół tworzyły te same wyrazy.

ZNACZENIE WYRAZÓW:

1. Jeździec rosyjski.
2. Alkohol.
3. Rozporządzenie.
4. Mieszkańcy Azyi.
5. Zdrobniałe imię żeńskie.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 13-go b. m. włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie *uwzględnimy.*

Rozwiązanie szarady z nr. 25-go: Arkadya.

Dobre rozwiązanie nadesłali i otrzymali nagrodę: pp. L. Ludkowski z Poznania, Jan Wachowski z Niechanowa, Ludwika Bock z Berlina i Józef Zięborak z Białej (Galicyi).

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

32)

GADY.

POWIEŚĆ Z XIV WIEKU.

(Ciąg dalszy).

Donośne było wołanie Jaśka, wołaniem jego leśne echa zabrzmiały, ale nie ruszył się nikt. Orlik nawet beznadziejnie ramiona ścisnął i na osłabłe, wybite zupełnie z sił rumaki wskazał.

Jaśko poskoczył i wrzasnął:

— A jego koń?... zali bez tchu pędzi, gna bez znużenia?....

— Jaśku! — odezwał się Orlik — na nic tu rozpacz i gniew, gdzie dobre zrozumienie rzeczy być powinno. Choćby Wolfframa koń nie padł, do nieskończonego biegu sił mieć nie może. Zdrajca ów dbać oń więcej nawet niż my musi. Gdyby padł, nikt mu drugiego konia nie da, — tu polski kraj, tu miru nie mają rycerze znienawidzonego zakonu, a kryćby się musiał, jak wąż się wić, coby mu, niesamemu nie łatwo przyszło. Może za górą, za lasem, za tym pniem drzewa ten zbir się ukrywa, ale gdy ty szalejesz, on rumaka rozkiełznał i folgę mu daje, by nabrał sił do drogi jutrzejszej. Dzień błyśnie, nie równym podąży on gościńcem. Nie wskaże mu drogi przechodzień spotkany, brodu dla niego nie zmącą, nie usunie głazu z pod stóp. Inaczej z tobą!... każdy ci ręką wskaże i powie: tędy!.... Każdy szlachecki dwór najlepszego ze stada da ci rumaka, boć już nie ten jesteś Święca, co trzyma z krzyżakami, lecz ten, coś im pomstę zaprzysiągł... Do Gdańska, do Trottenberga jedź śladami Wolfframa. Zmożonego przyłapiesz i — zamordujesz; z rąk ci się wymknie — dosięgnie go palec Korneliusza. Noc — czas spoczynku i snu.... Konie się wzmogą — błyśnie świt, my będziem do dalszej pogoni gotowi.

— Mówisz jak stary, — Jaśko szepnął...

Ale rada była zbawienna.

Nie rozpalono ogniska, bo księżyc nad góry i lasy się wzbił; noc była ciepła, pełno woni i szmerów przedziwnych, jakby o czemś tajemniczem, niezwykłem, dęby dębom, bukom buki szeptały. Brat Johan już spał, jak dusza niewinna, towarzysze kasztelanica z uzd i siodeł zwolnili konie, które tak były zmęczone, że wonnej, rośnej trawy nawet skubać nie chciały, jedne pospuszczały łby, inne pokładły się wnet, spragnione snu i spoczynku.

Pospali się i ludzie — jeden tylko Jaśko na zwalonym pniu drzewa usiadł i w ponurych pogrążył się myślach.

Zmożył-li go sen, czy zaświatowe nawiedziły mary jakieś, sam nie wiedział. Posłyszał huk dzwonów dalekich, głowa jego pełna tych dzwonów była. Przed jego oczyma przesunęła się wojewody postać, paliła się ziemia pod nim, gdy przechodził, szeptały trawy, gdy je potrącił: zdrajca!... A później posłyszał brzęk strun lutni pazika, później wpatrzyły się na niego czarne oczy Helżbietki, czar go jakiś otoczył, — i znikła świadomość życia i snu, bólu i rozkoszy — w ramiona swoje wziął go sen litościwy i ukołysał, jako macierz rodzona.

Gdyby zwierz dziki abo zbój leśny przydybał, niktby mu wstrętu żadnego nie czynił, niktby jego nie słyszał kroków. To też nie słyszał nikt, jak zadudnił gościniec od kopyt końskich, jeno konie głowy podniosły i zarżały cicho, lecz ludzie spali, nawet Jaśko o pień drzewa oparty, choć prawicę na mieczu trzymał, nie słyszał tententu zbliżającego się orszaku jakiego, ni urywanej rozmowy, jaką pomiędzy sobą nieznajomi rycerze wiedli.

Orszak się zbliżył — i stanął nagle na rozkaz wodza.

Martwi czy co? — rzucił pytanie mąż rosły.

— Dwa trupy końskie leżą pośród drogi — odezwał się jeden z rycerzy.

— A ludzie ....

— Śpią.

— Śmiertelne znużenie znać na ich twarzach.

— Czy wasza dostojność rozbudzić ich każe?

— Po co?...

Nagle wzrok męża na kasztelanica padł....

— Święca! — wyszeptał. — To dziwne! — jakby do siebie ciągnął dalej.

Stanęli obozem....

Nad świtem pierwszy się rozbudził brat Johan.

Dzień się czynił, uchodził zmierzch, noc umykała przed światłem.

Brat Johan ziewnął, przetarł powieki — nagle wzrok jego padł na wodza nieznajomego orszaku... Siedział pod drzewem w płaszcz biały otulony i szeptał pacierze. Brat Johan do Jaśka skoczył, za oba ramiona go porwał i trząść zaczął:

— Co? czego chcesz — na pół rozbudzony ozwał się Święca.

— Trottenberg!... — zawołał ksiądz Johan, na sędziwego męża wskazując.

Bicz Zakonu i jego groźny sędzia zarazem, siedział nieruchomie, z głową opuszczoną ku ziemi, w dumaniach libo w dusznej modlitwie zanurzony. Usta zaledwie się poruszały — snadź szeptał pacierze, czasem z pod palców wybiegała kościana perła różańca i upadając na szereg innych, brzękła; jakoże było przerywać mu oną tajemniczą rozmowę z Bogiem? to też kasztelanic stał podle, w pobożnego męża zapatrzon, ku któremu wszystkie jego nadzieje się zwracały, od którego zbawienie miało przyjść, libo wypaść groźny wyrok zagłady.

Nikt nie znał dalekiej już przeszłości Henryka Korneliusza; niepewne wieści chodziły, że czasu młodości swojej nie odwracał się, jako to dziś czynił, od płci nadobnej, ale szczęścia do niej nie miał i zawżdy ktoś klinem pomiędzy nich wbił się, sentymenta niewieście popsował, serce Korneliusza gorzkością zalewając. Ale prawdę rzec, to Trottenberg pięknością nie grzeszył. Włos szczeciną na głowie mu się jeżył, a rudy był, jak miedź szczera. Zajęcze wargi miał, przez które żółte zęby widać było; zarost niechlujny, a pozbyć go się nie mógł, bo twarz całą obsypywały krosty świerzbiące, oczy czerwonymi pierścieńmi powiek obwiedzione były, bez rzęs prawie, co nadawało im wygląd jakiś jaszczurczy, pierś zaś wydętą miał, w której raz wraz jakieś popsowane instrumenty grały, ni to puzon ochrypły, ni to flet przedziurawiony, ni to rozstrojona skrzypica jakaś. Jakaż głowa niewieścia na takiejby się fujaro-gitarze zakołysała, rozkosznego snu pragnąca? jakieżby usta na tych zajęczych się wargach położyły? jakie oczy w one królicze źrenice byspojrzały, albo z umiłowaniem onej krościastej przyglądały się twarzy?... Umykały tedy niewiasty co znaczniejsze, a przecie tylko o takie dbać można. I znienawidził Trottenberg ród niewieści i z zawiścią na szczęśliwych kochanków patrzał, a cóż dopiero, gdy szatę mniszą wziął na się i zakonną czystość przed Panem Bogiem ślubował?... Katem stał się a tyranem srogim dla nieochędożnych.

Lecz dla Zakonu położył zasług nie mało. Nieustraszonym był w boju, niedościgniony w fortelach i zdradach, niemiłosierny dla zwyciężonych. Jeno o dobro a

potęgę Zakonu dbał — nic mu ojciec ni macierz rodzona, niczem mu siostra ni brat, byleby Zakon granice swoje rozszerzał, byleby syt był chwały ziemskiej i grozę rzucił i postrach na świat cały.

Trottenberg!...

Jaśko teraz wzrok zwrócił na niego.

Mnich poznał Święcę. Skończył pacierz, różaniec z rąk wypuścił, który zawisnął na pasie rycerskim i uprzejmem skinieniem głowy witając kasztelanica, ozwał się:

— Jakaż to przygoda spotkała was, panie Święca?

Jaśko podszedł.

Już po pierwszych słowach kasztelanica blady strach powiał przez rycerskie szeregi, towarzyszące Trottenbergowi; ale Trottenberg się nie poruszył. Święcy się zdawało, że słowa odbijały się od tego mnicha, jak groch od ściany. Irytowała go ta obojętność sędziego, ta nieruchomość postaci Korneliusza, z której nie mógł wyczytać najmniejszego gniewu oburzenia, dojrzeć najmniejszego rysu grozy spodziewanej, a wżdy ona sprawa ohydna dotykała jednego ze sług, czci Maryi poświęconego Zakonu. Za Jaśkiem brat Johan stał i klamkał zębami, za Trottenbergiem rycerzy liczny poczet z oddechem w piersi zapartym. Dlaczego oni tak bladzi? dlaczego ten ksiądz tak zębiskami dzwoni, wżdy tutaj nieczuły głaz siedzi, koralowemi oczyma wpatrzon w twarz zbolałego Jaśka?...

Lecz Jaśko nie znał Trottenberga — a tamci go znali. Wolejby twarz sędziego nabiegła krwią, mniej krwawy wyrok byłby wtedy.

Skończył.

— Świadki — odezwał się Trottenberg.

— Jeden z nich — a ważny, — rzekł Święca, na brata Johana wskazując.

— Ty? — rzucił spokojnie Korneliusz.

— Ja — ja... — zabełkotał, przysiadając ksiądz Johan...

— Widziałem ciebie zawsze w towarzystwie Wolframa.

— Dopóki... dostojności wasza... ten pies mnie wszeteczeństwem swojem nie uraził. Z Kafarnaum przybyłem, o czem święty Eliasz pustelnik, tam mieszkający w grocie podziemnej mógłby zaświadczyć, a który kłaniać się rozkazał dostojności waszej, służby mu swoje polecając...

— Łżesz! — rzekł krótko Trottenberg.

— Niewolno mi zaprzeczyć sprawiedliwym słowom dostojności waszej. Ale dlaczego porzuciłem wielce mi dogodną służbę przy Wolfframie, gdzie wikt miałem i opierunek, a przyłączyłem się do orszaku tego rycerza, goniąc z nim od bram Krakowa, co przy mojej korpulencyi do satysfakcyi przecie nie należy?

— Do rzeczy — rzucił Trottenberg.

— Wolffram porwał dziewkę pana miecznika.

— Widziałeś?...

Brat Johan jęknął...

— Wi...działem.

— A to jak?...

— Zwierzył mi się, gdy na koń siadał.

— A ty?...

— Szelmo! łotrze! zawołałem — i za nim...

— Aż tu?...

— Nie... do królewskiego zamku, lecz po harapie już było. Wtedy ryczeć, jak bawół zacząłem, by gród cały obudzić... Aż tu ten rycerz zacny nadjechał... „Pędź! goń!" wołam. — I popędził i pogonił, a ja z nim... Pozwól mi wasza dostojności usiąść, bo z oburzenia nogi mi się nieprzyzwoicie trzęsą.

Kasztelanic na brata Johana patrzył, który mu teraz kłamcą, a tchórzem wierutnym się wydał.

Trottenberg do Święcy się zwrócił.

— Na śladach zbiega jesteście?...

Jaśko potwierdził. Ciężkie kopyta Wolfframowego konia głęboko w ziemię się ryły, znajomy rysunek podków niemieckich pozostawiając po sobie, zresztą każdy spotkany kmieć nie kmieć, drogę wskazywał i mówił: tędy!...

— Na koń! — rzekł spokojnie Trottenberg.

I znów się pościg rozpoczął; — w orszaku Trottenberga koń niejeden szedł luzem, miał w czem wybierać Jaśko i brat Johan. Konie szły rączo, Jaśkowi się zdało, że gon był opieszały.

Budziło się słońce i rozjaśniło niebiosa, porankowy wiał chłód, na trawach perliły się rosy.

Dwa stajania może odbiegli od miejsca noclegu, jak uwagę ich zwróciła grota wykuta w skale, z której wnętrza dobywała się lekka mgła dymu i spalenizny zapach... Trottenberg i Jaśko, jakby jakiemś przeczuciem tknięci, zatrzymali się u wejścia jaskini, zeskoczyli z koni i weszli do środka.

Żarzył się jeszcze niedopalony stos, tlały żywiczne bierwiona sosen, błękitne płomyki ognia dobywały się z rozsypanych popiołów. Wnętrze groty chłodem wiało i wilgocią, stopy idących w miękkiej zanurzały się ziemi, wyraźne ślady zostawiając po sobie. Trottenberg ruchem ręki zatrzymał Jaśka. Stanął i sam i ku ziemi się pochylił.

— Widzisz?...

— Odciski żelaznych stóp.

— Przypatrz się lepiej — nachyl się niżej... Strach! — szeptem dokończył Trottenberg.

Jaśko wyraźnie dostrzegł malutki obwód obuwia niewieściego. Stopy męskie z niewieściemi się mieszały; wolnie czy nie wolnie szły, prowadził je mus czy niegwałcona ruchów swoboda, dostrzedz nie sposób było.

Czoło Jaśka pobladło.

Byli tu, o staj parę noclegiem tu byli — a koń mu padł...

Zachwiał się...

Trottenberg palcem wskazał księdzu Johanowi na ślady one, który głową pokiwał.

— Poznajesz?...

— Ćwieków sześć było w obcasach obuwia Wolfframa.

— I tu jest ćwieków sześć.

— Lewą stopę miał zakrzywioną nieco.

— I tu jest krzywizna — dodał Trottenberg.

Przy stosie ślady były zatarte, zmieszane, jakby w walce jakiejś.

— Zgwałcił — rzucił obojętnie Trottenberg.

Głuchy ryk wypadł z piersi Jaśka — i padłby, gdyby go nie podtrzymał mąż jakiś. Trottenberg z pogardą spojrzał na kasztelanica, jakby się dziwił, że go obeszła rzecz tak mała. Nie o dziewkę miecznika i jej losy srogiemu mnichowi chodziło, lecz o cielesną niepokalaność sług Maryi, o występek ten przeciw obyczajności, dla którego Trottenberg przebaczenia nie miał. Pazik skoczył w głąb jaskini, pochylił się, przebiegł oczyma po ziemi raz i drugi i krzyknął:

— Nie! nie!.... wyrwała się, jeżeli nawet i zniewolić ją ten zbój chciał.... Patrzcie!... widoczny ślad skoku.

Po onych niepewnych znakach, każdy, wedle rozumienia swojego, odtwarzał dramat, jaki się w onej jaskini odbył. Zda się jednak, że prawdziwość domysłu przy pacholęciu była; jeżeli zaś był ślad szamotania się niepewnego, śladu pokonania nie było. Zgodził się i Trottenberg na ono twierdzenie pazika, a jużci, że ku niemu pochyliło się serce Jaśkowe.

Wychodząc z groty, zauważyli rzucony u wejścia kwiat bzu dzikiego. Krzew rósł przy wejściu samem, odarty był z kit białych, jeszcze świeżą wilgocią ociekał z ran zadanych, choć otrząsnięty był z ros wszystkich.

— Na koń! — zawołał Trottenberg, na podprowadzonego rumaka siadając.

Jaśko, jak senny do swojego konia się zbliżył. Jakiś człek stary podał mu strzemię. Był to Jarmusz....

— A ty skąd tutaj!... — zapytał zdziwiony.

— Goniłem za wami, bo jako mi bez was ostać było?....

Jaśko z uczuciem uścisnął dłoń starego sługi.

Od chłodu nocy, od ros porannych zwilgotniała ziemia pozwalała doskonale odróżniać ślady kopyt ciężkiego konia Salzbacha od rysujących się na niej innych śladów. Znać było, że gnał, co jeno sił mu starczyło, rył się głęboko w czarnym pasie szerokiego gościńca, na małym pagórzu widoczny był znak śladów omdlenia, każdy skok był pewny, potężne każde uderzenie kopyta, Jaśko czuł trwogę, pazik się dziwił wytrwałości wierzchowca, a Trottenberg rzekł:

— Niemiecki koń!...

Swięca zauważył rzecz pewną, na którą inni nie zwrócili całe uwagi. O pół stajania od odbieżonej jaskini, u której wejścia dostrzeżono gałązkę bzu białego, ktoś drugą gałązkę taką rzucił, a później trzecią, czwartą, dziesiątą, w dalekich odstępach od siebie, zawżdy tam, gdzie dwie lubo więcej rozbiegało się dróg, gdzie ślady stóp końskich ginęły na gościńcu, zbaczały w głąb leśną lubo w miękkich ukrywały się trawach. I oto raz na krzewie leszczyny kwiat taki zawisnął, zabielał na tarninie niedalekiej, zaśnieżył na trawach łącznych. Nasamprzód Jaśko dostrzegł te głoski tajemnicze na ogromnej rozrzucone przestrzeni, później zauważyli je i inni rycerze, nawet Trottenberg uwagę na nie zwrócił i już w pogoni znakami tymi się kierował.

Serce Jaśka bić zaczęło, bić mocno. Znać wiązankę tego kwiecia Wolffram rozbolałej dziewczynie ofiarował dla ułagodzenia jej łez, dla zajęcia jej zbiedzonego umysłu kwiatami wróżebnemi. I dar ten wzięła, i niewinny kwiat ten wzięła, który w ręku jej miał służyć, jako list miłosny, a może, jako dla goniących wskazówka. Snadź nie wątpiła o pogoni, a może czujny jej słuch, wciąż poza siebie zwrócony, oddawna już słyszał tentent daleki spienionych koni, szczęk mieczów i gędźbę strzemion. Zrazu łzami tylko, wsiąkanemi w ziemię, gościniec rosiła, aż oto jej do rąk białe kwiaty bzu wpadły, i zrodziły myśl, którą teraz w czyn zmieniła. Nie bez myśli może był i wybór kwiatów — ich barwa. Z barw różnych wybrała kolor biały — zaśnieżył on w tej grocie nieszczęsnej, jako symbol czystości, zaśnieżył w chwili, gdy omdlał, gdy słowa Trottenberga rozdarły mu serce. Teraz, zda się, mowę ich zrozumiał, która mu już tak jasną była. I uderzyło serce Jaśka miłowaniem wielkiem, a gdy się tym kwiatom jął przypatrywać baczniej — uderzyło dobrą wróżbą nadziei. Kwiaty były świeże, jakby przed chwilą zerwane, przed chwilą rzucone. Słońce nie wypiło z nich rosy jeszcze, nie wyssało orzeźwiającego zapachu. Snadź mknęli tuż przed nimi, ten zbój i ta ukochana, o staje jendo, o pół stajania może, tylko zakrywa ich ten bór niemiłosierny, tylko ta skała w poprzek drogi stanęła, tylko te wądoły w uścisk swój gościniec wzięły i cieniem zboczon i baldachimem szerokolistnych drzew okryły. Nie żałował razów koniowi i gnał, uczuciem niewymownej wdzięczności każdy kwiat witając, i gdy do siebie szeptał:

— Miłowania to znaki.

Trottenberg w myśli swej odpowiadał:

— Przebiegłość niewieścia.

Ale ze świeżych śladów nóg Wolfframowego konia, które jeszcze od żaru słońca nie spopielały; ze świeżości kwiatów wzdłuż gościńca rozsianych — znać było, że nie tylko na dobrym tropie są, lecz, że goniony jest niedaleko od nich. Zrozumiał to i Trottenberg i poza siebie się obracał i wołał:

— Dalej!...

— Gon się udaje — pocieszał jaśka pazik.

— Fram! Fram! — szeptał do siebie brat Johan głosem płaczliwym. — Skórę zedrą z ciebie, obym tak zdrów był!... a wszystko to mnie zawdzięczać będziesz, przyjacielu mój najukochańszy!...

Pogoń nieustawała, wypoczęte rumaki orszaku Trottenberga, jak wichr parły naprzód. Z oznak różnych znać było, że się do celu zbliżano: ślady kopyt końskich coraz wyraźniejsze odbicie miały, choć znać było plątanie się nóg, chwytanie się ziemi z wysiłkiem, a nawet na liściach krzewów przydróżnych pieniła się piana krwawa, znać zwierzę zranione od wędzidła pysk miało i pluło krwią. Jeszcze dziesiątków parę kroków potężnych, a dopadną, chwycą oprawcę...

Tętent!...

— Ha! — wybiegło z ust Jaśka.

— Są!... — pazik zawołał.

— Dalej! — wydał rozkaz Trottenberg.

Droga się wiła, jak wąż, leszczynowe krzewy osłaniały przestrzeń okolną. Tu i tam biało-żółta piana lepko okapywała z liści, lecz coraz mniej jej było, aż znikła zupełnie, niepokalaną zieloność krzewów pozostawiając. Tętent, pochwycony uchem, oddalał się z szybkością nadmierną — aż zcichł.

Czy wiatr go zgłuszył, czy oniemiały go piersi skał?...

Na twarzy Jaśka zarysował się strach...

— Żali umknęli?... — do pazika się zwrócił.

— To niepodobna!... Szatan byłby pod nim nie zwierz!...

Cisza!... przerażająca cisza!

— Może koń runął?...

— Dopadlibyśmy go; jak wichr gnamy... Już piersiom naszych koni nie staje tchu!...

Jeszcze jeden na drodze kwiat bzu zaśnieżył i już gościniec dalszy nie miał tych oznak nadziei.

— Zabrakło jej kwiatów, — szeptał Jaśko. — Piekło! — zawołał — mój koń się plącze, a tam nie znikają ślady Wolfframowego konia.

Trottenberg, który na czele oddziału sadził, dał znak, by gon wstrzymano. Koń, ściągnięty wędzidłem nagle wszystkiemi kopytami w ziemię się wrył, płaszcz, przez wichr skołtuniony, owinął postać mnicha-rycerza.

Stanęli...

Jaśko z trwogą spojrzał w twarz Korneliusza, który na drogę przed siebie palcem wskazał i rzekł:

— Spójrzcie!

Jaśko i otoczenie całe nie zrozumiało słów.

— Przypatrzcie się śladom Salzbachowego konia.

Wyraźne były — lecz inne były.

Kasztelanic pobladł...

— Spocząć — rzekł Trottenberg. — Nie machiny mamy pod sobą, lecz stworzenia Boże.

(Ciąg dalszy nastąpi.)